

M. H. Motyński

PRZEGLĄD LWOWSKI.

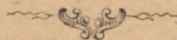
Pismo dwutygodniowe
poświęcone sprawom
religijnym, naukowym, literackim i politycznym.

ROK PIERWSZY.

15. Sierpnia 1871.

Poszyt szesnasty.

(Fide ac veritate.)



Spis rzeczy:

- | | |
|---|--|
| 1. Nieszczęśliwi. (Z rosyjskiego). [C. d.] | 9. Sprawa papieska w Zgromadzeniu francurkiem. |
| 2. Dr. Libelt i mieszkania nawodne. | 10. Dziennik „Kraj“. |
| 3. O metodzie scholastycznej. (C. d.) X. Z. G. | 11. Kronika: |
| 4. Karta wspomnień. Herlicza Sasa. | I. Rewolucyoniści włoscy. |
| 5. Czy Jezuici zgubili Polskę? (C. d.) | II. Przyjazd gości do Lwowa. — Obiadowa uczta. |
| 6. Notatki literackie. | III. Odpowiedź „Gazecie Nar.“ |
| 7. Jubileusz papieski w Ziemiach polskich. (Dokończenie). | IV. Rozmaitości. |
| 8. Korespondencya Przeglądu: Z Berlina. | 12. Świętopietrze |

L W Ó W.
NAKŁADEM REDAKCYI.

Z Drukarni Karola Budweisera.
1871.

Rozporządzą w zeszycie dziesiątym historyczną rozprawę p. t.

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

będziemy bez przerwy zamieszczać w następnych numerach.

I. Opinia publiczna i Jezuici. — Kto są Jezuici. — Czy instytut uległ jakiej zmianie. — Summa czyli treść instytutu — Rząd Jezuitów jest-li despotyczny. — Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm zakonu. — Cele i widoki. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolniającej nauki moralnej, niedozwolonego handlu królobójstwa.

II. Dla czego Jezuici zajmują się edukacją młodzieży. — Podwójne zadanie edukacji jezuickiej. — Jak zakon kształcił profesorów i nauczycieli. — Antynarodowość systemu jezuickiego. — Dzisiejszy system preparand nauczycielskich. — Skład szkół jezuickich. -- Profesorowie, i przedmioty w nich wykładane. — Dla czego uczono tyle łaciny. — Klasyce w szkołach dzisiejszych i jezuickich. — Zarzuty względem zaniedbania historyi literatury i umiejętności ścisłych. — Kilka uwag nad nowym systemem naukowym (pruskim). — Scholastycyzm i Jezuici. — Prace naukowe Jezuitów. — Strona moralna edukacji jezuickiej. — Emulacya, koncertacye i kongregacye. — Popisy, dyalogi, sądy, prawne dysputy. — Zarzuty bigoteryi, szpiegowania i kar cielesnych.

III. Przyczyny upadku Polski. — Pierwiastki demoralizujące w narodzie jeszcze przed wstąpieniem Jezuitów na ziemię polską. — Czy Jezuici mogli przeszkodzić rozwojowi tych pierwiastków. — Władysław IV i Jezuici. — Demoralizacya narodu przez Jezuitów — Zarzuty księcia Adama Czartoryskiego i odpowiedź na nie — Panegiryki jezuickie pod względem moralnym — Zasługi Jezuitów na polu moralności religijnej.

IV. Uwagi nad okresem piątym literatury polskiej czyli nad epoką jezuicką. — Kłótnia Jezuitów z Akademią krakowską czy może stanowić epokę — Odkąd datuje się upadek Akademii krak. i przyczyny jej upadku — Akademia Wileńska i Stefan Batory — Spór z akademią krakowską i Jezuitami o Szkołę poznańską — Historia kłótni akademii krak. z Jezuitami — Otwarcie i zamknięcie akademii lwowskiej — Przyczyny upadku literatury w XVII i XVIII wieku — Anachronizmy w sądach i krytyce literatów naszych — Jezuici i oświata na Litwie — Florydacyzm i jego przyczyny -- Makaronizmy — Literatura XVII i XVIII wieku nie ma jeszcze dotąd swojej historyi.

V. Wpływy Jezuitów na politykę królów i państw. — Jezuici spowiednicy panujących. — Czy Jezuici mieli jaki udział w polityce Rzeczypospolitej. — Possewin i wojny moskiewskie króla Batorego. — Jezuici i Zygmunt III. — Uwagi nad Zygmuntem III. — Jezuici w sprawie Dymitrów Samozwańców. — Polityka króla Sobieskiego. — O. Wota i król Jan. — Zasługi polityczne Jezuitów w Polsce.

VI. Nietolerancya i fanatyzm Jezuitów. — Czy w Polsce były kiedy jakie prześladowania religijne. — Zygmunt III i różnowiercy. — Władysław IV i nietolerancya narodowa. — Jan Kazimierz i wypędzenie Aryanów. — Fanatyzm narodowy. — Złą pobożność Polaków XVII wieku. — Spalenie ateusza. — Sprawa toruńska. — Uchwały sejmów z lat 1717, 1733, 1736 — 1766. — Koszackie wojny czy były owocem nietolerancyi i fanatyzmu jezuickiego.

NIESZCZĘŚLIWI.

(Ciąg dalszy).

Do Tobolska partye nieszczęśliwych idą tak samo jak wyszły z miejsca. Kobiet nie oddzielają od mężczyzn wcale. W tyle za partyą siedzą one na wozach razem z ostatnimi. Są to szczęśliwe pary kochanków, które w ciągu długiej podróży zdołały się poznać i z etapnymi porozumieć, dla tego, żeby mogli za własne pieniądze nająć sobie podwodę. Nie przeszkadza to jednak stosunkom miłosnym, że taka podwoda przez oboje się wspólnie opłaca. Niekiedy na jedne sanie siada po dwie i trzy pary. Świadomi opowiadają, że kobiety zbrodniarki, wyrabiają w sobie w czasie tej podróży dziwne usposobienie serca, które im nie pozwala kochać jednego przez całą tak długą podróż, jak np. do Tobolska. Kochanka etapowa nie okazuje żadnej ochoty do małżeńskich związków, rzadko zostaje wierną temu, który pierwszy potrafił podminować jej występne serce, i tego tylko dłużej lubi, który ze zręcznością łączy jakąś ważną i istotną zdolność, a ta zależy przedewszystkiem na oszczędności, na nabiciu sobie kopiejkami dobrze swojej sakwy. Z kobiet większa część dostaje się zazwyczaj na Syberyą za podpalenie i dzieciobójstwo, a oba te przestępstwa dowodzą silnych nader namiętności, jakimi w ogóle odznaczają się Rossyanki. Namiętności te przywiodły ją do upadku i prowadzą do katorgi, nic więc dziwnego, że z niej robią łatwą zdobycz dla amatorów. Przykłady stałej przyjaźni zdarzają się jednak niekiedy. Gdy jaki zuch zesłany bez określenia lat do katorgi, a tem samem nie mający prawa przed upływem lat jedenastu wstępować w stan małżeński, gdy potrafi zdobyć takiej kobiety serce — łączy się z nią przysięgą w obec innych wykonaną — coś w rodzaju cywilnego małżeństwa. I temu to przypisać należy, że aresztanci nie uciekają z etapów ¹⁾.

¹⁾ Zauważano, że kobiety przed przybyciem do Tobolska, zgłaszają się zaraz z prośbą do władz o pozwolenie wstąpienia w małżeństwo, lub wy-

W Tobolsku oczekuje partyą aresztantów więzienie i wypoczynek. Więzienia tutejsze najobszerniejsze ze wszystkich w całej Rosyi, a wypoczynek dłuższy nierównie niż gdzieindziej. W Tobolsku, jak wiadomo, od czasu urzędzenia gubernij sybirskich wedle projektu Sperańskiego — istnieje specjalny urząd dla zsyłania do Syberyi i zajmuje się rozsortowaniem ich wszystkich według kar, naznacza ostatecznie miejsca zastania, sprawdza wykazy statystyczne i formuje nowe. Potrzebując do tego nie małego czasu, dają przeto aresztantom sposobność odetchnięcia, rozpatrzenia się w przeszłych i przyszłych kolejach życia. Jednem słowem, więzienia Tobolskie ważną odgrywają rolę w całym etapnym życiu aresztantów. Świadomi rzeczy mówią, że aresztanci wychodzą ztąd z większem doświadczeniem. Gminy ich urządzają się na trwalszych podstawach, itd. Więzienia te są bogate w różne wypadki i stanowią jakby ognisko, przy którym aresztant wszelkiej nabywa nauki, potrzebnej w jego wyjątkowem życiu w obcej stronie, wśród nieznanym mu okoliczności. Mimo rozdzielenia więźniów na partye i oddziały, porządek w więzieniu ten sam się przechowuje, który był zaprowadzony na poprzednich etapach, z tą tylko różnicą, że jest tu więcej wykończony. Prykaz, tj. urząd dla aresztantów ustanowiony, ma prawo wyznaczać ich na roboty — a z tych uciekają oni dość często jak i z samego nawet więzienia. Mimo surowości więziennego nadzoru, idzie nie źle fabrykacya fałszywej srebrnej monety, paszportów, świadectw i pieczęci. Więzienie więc Tobolskie bez względu na to, że jest, jakby tylko stacją etapową dla aresztantów, ważnem jest ze względu, że daje im gruntowną naukę; naukę potrzebną w życiu na katordze, na posieleniu i na etapach.

Tobolskie więzienie ma swoją historję oryginalną i pouczającą — jest ono niezawodnie prototypem dla wszystkich więzień rosyjskich. Istny to rezerwoar, do którego spływają wszystkie najszkaradniejsze brudy, nagromadzone w innych. To też więzienia Tobolskie tak są uważane przez aresztantów, jak np. uważają Moskwę inne miasta w Rosyi, handlujące tym samym co ona towarem. Tobolskie więzienie samo kiedyś spełniało rolę katorgi i miało

słania ich do jednej gubernii z kochankiem. Wedle świadectwa jednego urzędowego dokumentu, były przykłady nierzadkie, że pozostawiający w domu żonę lub męża z dziećmi i nie pozbawieni praw, prosili jeszcze za życia swych małżonków o pozwolenie wejścia w nowe związki z osobą idącą w tej samej partyi.

w swych murach więźni przykutych do taczek, do łańcuchów i różnego rodzaju zasłanych w Syberyą ludzi.

Dzisiaj w Tobolsku dzielą zawsze aresztantów na dziesiątki. Dla każdej dziesiątki naznaczają oddzielnego dziesiątnika, a nad nimi wszystkimi głównym naczelnikiem wybrany przez całą partję, starosta. Przykaz zatwierdza taki wybór i tym sposobem żaden już etapowy oficer nie ma prawa go zmienić, chyba jeźliby sobie tego życzyła cała partja aresztantów. Taki starosta z jednym z konwojujących żołnierzy, w wioskach gdzie naznaczona dniówka, chodzi zwykle po domach zbierać dla nich ofiary.

Z Tobolskiego więzienia aresztant wychodzi bogatym, z zasobem nowych wiadomości potrzebnych mu do przyszłego jego życia i z zapasem nowych rzeczy skarbowych. W sakwie ma dwie koszule, dwoje spodni — na plecach nowe odzienie z szarego sukna, a na nogach brodnie. (Nie buty i nie kalosze — obuwie wynalazku i gustu sybirskiego, zazwyczaj krótkotrwałe). W zimowej porze garderoba jego jeszcze wzrasta — na plecy dają mu tułub, na ręce rękawice, na nogi sukienne parcianki, a na głowę ową dziwną sybirską czapkę, którą lubią nosić w drodze i w bezludnych miejscach popi i handlujące chłopstwo. Ruchomość tę, może aresztant oddać lub sprzedać komu się podoba — ochotników znajdzie dużo; jest nim konwojny żołdat, lub wieśniak z pierwszej lepszej wioski. Tułub ceni się najwyżej 2 rsr., a często i daleko taniej. Aresztanci sprzedają swoje rzeczy w drodze zazwyczaj częściowo i dopiero kiedy się zbliżają do jakiegoś gubernialnego miasta, hurtownie. Gdy ich pytają co się stało z ich rzeczami, odpowiadają zwykle — straciłem w drodze — towarzysze skradli; obijają go za to niezawodnie, to prawda, ale dać muszą znowu nowy ubiór. Zaopatrywanie ich w odzież odbywa się tym sposobem w każdym gubernialnym mieście. Ztąd - to handlowanie odzieżą tego rodzaju utrzymuje się w całej sile, pomimo ukazów, z których pierwszy wydany był jeszcze w 1808 r. Dobrze się dzieje z tego powodu wszystkim — zyskują aresztanci, oficerowie etapowi, żołnierz konwojujący, urzędnicy, dozorczy więzień i handlarze.

Tobolskie więzienie wywiera na aresztantów tego rodzaju wpływ, że ich partyom nadaje inny charakter. Dotąd przez całą Rosyję szli wszyscy razem — ztąd pójdą już oddzielnie. Katorżnicy (skazani do katorgi) w oddzielnej partyi — posieleńcy oddzielnie, a kobiety wedle ukaz z 1826 r. także oddzielnie. Potrafią jednak w dalszej drodze zmieszać zupełnie partye aresztantów i zmienić uka-

zami przepisana ich formę — lecz w Tobolsku domagają się pilnie rozsortowania. Raz w tydzień wychodzą ztamtąd albo katorżnicy, albo kobiety a potem posieleńcy. Katorżnicy idą wolno, oddzielnie; posieleńcy zaś, po trzy lub cztery pary zakuci do łańcucha za ręce. Sposób ten był wynaleziony przez generała Kopcewicza i zatwierdzony został 1 marca 1832 r. Dawniej przykuwano do pręta żelaznego. Pręt okazał się niedogodnym; w marszu bowiem ręka każdego tarła się o jego własną obręcz, tem bardziej, że ta zwykle nie była odpowiednią do jego ręki. Wysocy ciągnęli małych i nawzajem — słabi za mocnymi zdążyć nie mogli. Od ciągniętego się tarcia na rękach tworzyły się rany, puchlina, i na ręce przykute do pręta, nie można było wkładać rękawic. Zimno od żelaza powiększało jeszcze ból tem większy, że nie można było żadnego temi rękami robić ruchu, żeby je cokolwiek rozegrzać a oficer prowadzący partyę, nie mógł wedle ustawy prawa w ciągu drogi odmykać kłódkę wiszącą na końcu pręta. Klucz od niej chowano w oddzielnej skrzynce pod pieczęcią skarbową i bywał wydobywany dopiero po przybyciu na etap, gdzie znajdował się urząd. Jeżeli więc zachorował kto z aresztantów w drodze, trzeba było wszystkich wsadzać na powózkę. Na noclegach aresztanci nie mieli należytego wypoczynku, poruszenia jednego uczuwali wszyscy do tego samego pręta przykuci. Za każdą razą, gdy jednemu z nich potrzeba było wyjść, wszyscy towarzysze z nim iść musieli. „Strach i przerażenie, mówi dokument oficjalny, widziano na twarzach aresztantów w chwili gdy robiono przygotowania do zakucia ich na pręt — a dziękowania i błogosławienie Boga i władzy, gdy ich wysyłano pojedynczo w kajdanach. Jasno to przekonywa, że pręty dla więźniów są dokuczliwsze od kajdan. Pręty używane przez lat 8 (tj. od r. 1824) zamienione zostały na łańcuch długi od 11 werszków do półtora arszyna. Ale i z łańcuchem nie mniejsza bieda. Silniejsi w nogach ciągną za sobą słabszych — jeżeli się jeden zatrzyma, wszyscy stać muszą — a zakuwać zwykli w łańcuch od 8 do 10 razem. Lecz aresztanci i ten środek umieli do tego stopnia na swoją korzyść wyzyskać (przez zbyt wolny pochód), że sami konwojni chętnie go zarzucają. Wiedzą bowiem, że od jednej stacyi do drugiej jest wiorst około 30, które w ciągu jednego dnia przebyć trzeba — a z łańcuchem odbyć tej drogi niepodobna; wyszedłszy rano, potrzeba koniecznie na pół stacyi nocować i znowu iść cały dzień, by dostać się na noc do stacyi. A te ciągle noclegi na półta-

pach przykrzą się bardzo żołnierzom. Ale wróćmy do naszych aresztantów. Wychodzą oni z tobolskiego więzienia na świeże powietrze, a tam:

Na pierwszym przystanku za Tobolskiem, aresztanci urządzają pomiędzy sobą oddzielną i niezależną od zatwierdzonej przez rząd organizację — rodzaj gminy. Urządzona organizacja utrzymuje się przez całą etapną drogę i istnieje niezależnie od zatwierdzonej prawem. Nie znosząc utworzonej w Tobolsku z rozkazu urzędników, nowa ta ich władza zwana artiel, ma swój oddzielny samoistny charakter, który ściślej łączy wszystkich aresztantów. Nie potrzebuje ona żadnych nowych form, ale istnieje w swej dawnej, Bóg wie przez kogo obmyślanej, a święcie przechowywanej. Aresztanci lubią ją, i bez niej nie tylko nie idą po etapach, ale i w turmie nie przebywają. Ona jest ich życiem i radością. W rządowej artieli winien być starosta — w aresztanckiej majdanszczyki — w tem to cała różnica, na pozór mało znacząca, a w rzeczywistości ogromna.

Urządzenie takiej artieli poprzedza licytacja z wszelkimi warunkami komercyjnych operacji. Licytacja odbywa się: 1) na utrzymywanie wódki; 2) na utrzymywanie kart; 3) zapasów żywności; 4) odzienia itp. Do licytacji dopuszcza się każdy bez różnicy, ale wygrywa tylko ten, kto ma większy worek, kto obeznany z handlem. Zwykle bywają to ludzie oszczędni, skąpi, których serce na wszelkie pokusy już zimne, dla których życie i w więzieniu znośne jak tylko następcza te same korzyści jak i dawniej kiedy byli wolnymi. Nie rzuci się na to, ten co nie ma pieniędzy — ale za to nie wyrwie się nikt z jego rąk; wyzyskuje on wszystkie ludzkie słabości. Przedmioty licytacyjne po większej części oddają się dwom lub trzem — lecz jeżeli duża idzie partya (np. wyżej 100 ludzi), rozdzielają się pomiędzy wielu. Jednym znowu oddają prawo na karty, kości i inne przedmioty gry; drugiemu wódkę, tytoń i wszystko inne co uprzyjemnia im ich życie; trzeciemu wreszcie żywność i dostawę wszelkich zapasów do życia. Licytacje te mogą się jednak odbywać przez całą drogę z Tobolska do katorgi, jedne w drodze od Tobolska do Tomaska, gdzie rozdzielają się partye i dla tego na pierwszej stacji za Tomskiem urządzają nową licytację, następnie przed Krasnojarskiem w Irkucku, wreszcie w drodze do Nerczyńska. Część pieniędzy ze sprzedaży, rozdzielają w równej części pomiędzy wszystkich, druga mniejsza oddaje się w ręce

starosty, który obowiązany jest pilnować tej sumy jak oka w głowie. Za te pieniądze starosta za zgodą całej artieli, tj. wybranych przez areztantów pomiędzy sobą ludzi, kupuje różne wygody u etapowych naczelników, jak np. prawo śpiewania Miłoserdnoj, zbierania ofiar, pójście do łaźni na etapach, kąpania się w rzece, zdjęcia kajdan na słowo warnackie, zakupienia podwoły dla ulżenia chorym lub złożenia areztanckich rzeczy.

Podwoły dać mogą tylko urzędnicy na stacyi, gdyż oni jedynie utrzymują konie — wreszcie to ich zysk, z tego żyją oni, żołnierze i panowie oficerowie.

Pod Kazaniem, np. była stacya, nazywająca się pijanicą, ponieważ spijały się tam całe zawsze partye. W Jenissejskiej gubernii była druga, taka sama, mieszkał w niej oficer. Miał on pięć córek i przy nich trzymał kabak, tj. rodzaj szynku. — My ludzie słabi, a dusza w nas jednakowa (mówił mi areztant), skłonna do wszelkich przyjemności — a siły do oparcia się pokusom brakuje, kabak przeto przynosił oficerowi dochód ogromny. — Zaledwie uszliśmy 10 wiorst z Tobolska, mówił mi inny, gdy oficer idący z nami, krzyczy:

— Starosto! Zapytaj partyą, po ile da za wykazy statystyczne?

Starosta zapytał partyą i powiada ją mu: daj po 5 kopiejek z głowy.

— Mało — odpowiada oficer — Niech dadzą po grzywnie; i odesłał starostę.

Partya rada nie rada, każe dać po grzywnie. Rozwiązano worki, odliczono pieniądze — rozwinięto papiery i odczytano nam dokąd każdy z nas przeznaczony. Wiemy, że oficer darmo powinien był to zrobić i darmo każdego z nas do przeznaczonego miejsca doprowadzić powinien — ale bądź co bądź, każdy rad wiedzieć gdzie przeznaczony — zgadzają się więc na uczynioną im propozycję.

A czy to tylko tyle! Nieraz oficer woła starostę i poleca mu, żeby areztanci ugościli go jajami. Opowiada im to starosta — wybierają więc 10 ludzi z dobrym głosem i wysyłają na wieś dla zaśpiewania Miłoserdnoj. Dano im jaj nie mało, i oficer mógł przyrzędzić sobie jajecznicę.

Z dalszych opowiadań przekonamy się, że partya stara się z oficerami i innymi przewodnikami żyć w zgodzie i dogadzać im. Również i oficer jednać ich sobie musi, żeby mu nie zrobili jakiego

figla — zresztą za każde pofolgowanie bierze znaczne pieniądze. I dla tego o posadę taką ubiegają się oficerowie w Rossyi. — Posada intratna. Oszukiwać niema tu potrzeby — wszystko co się tutaj robi, wiadome całemu światu. Posady tak zwane inwalidne w czasach niedawnych słyęły z tego, że większe przynosiły dochody niż wioska z poddanymi — otóż posada etapowego oficera daleko jest korzystniejszą!

Aresztanci w drodze po etapach zapominają o swoim położeniu. Urzędnicy zaś dla osobistego interesu muszą się z nimi obchodzić łagodnie — ztąd to pochodzi owa dziwna okoliczność, że aresztanci nie uciekają z etapów nigdy. Zdarzają się wprawdzie niekiedy przypadki ale zbyt rzadkie i to po większej części tylko na Zabajkale, w miejscach blizkich już katorgi. Dziwna rzecz — bo zdawałoby się, że niema łatwiejszej ucieczki jak w drodze, kiedy idzie cała partya wśród lesistych gęstw — wówczas zboczyć z drogi, ukryć się wśród nich najłatwiej, szczególnie w lecie, kiedy jagod jest wszędzie podostatkiem. Uciekać atoli z etapu niewygodnie — mówią zwykle świadomi rzeczy aresztanci — zresztą i artiel (wybrany przez aresztantów) nie lubi takich rzeczy. „Róbcie bracia co chcecie, byle tylko nie było żadnego pomiędzy nami zbiega. Jeżeli bowiem który ucieknie, całą partyą zakują w kajdany, nałożą łańcuch — a łańcuch, wiecie!... stawy wrywa, a zimą wszystkie bolą kości.“

— W naszej partyi pewnego razu zdarzył się wypadek taki: Nałożyli łańcuch — było to w czasie tęgich mrozów — zdawało się że szpik w kościach zamarźnie od łańcucha, kilku utracić ręce — odjęli im je później na stacyi.

— U nas, mówili drudzy — pewnego razu uciekł z partyi młody, niedoświadczony, niecierpliwy zbyt towarzyszy. Z bojaźni zdrżało nam serce i wstrzęsły się już przed czasem w stawach kości nasze. Wiedzieliśmy, że nie ominie nas łańcuch, a tu zima nadzwyczaj była silną. Zebraliśmy się w gromadkę i rada w radę pomiędzy sobą — udaliśmy się do naczelnika:

— Racz nam pan zrobić tę łaskę i pozwól wyszukać zbiegłego. My go znajdziemy, ażeby liczba była cała i abyś nie musiał odpowiadać przed władzami.

— Dobrze — odpowiedział.

Oficer był stary, znał swą rzecz i znał też naszego brata, a wierzył w słowo warnackie. — Ruszajcie, mówił, i nie dał nam nawet konwojnych. — Poszliśmy więc, wybrani od artieli całej.

W lesie zrobiliśmy obławę. Chodziliśmy noc całą i na drugi dzień około południa zeszedliśmy się w oznaczone miejsce. Przyprawiliśmy wreszcie zbiegą, ale nowego zupełnie; ten co od nas uciekł, miał lat 18 — myśmy znaleźli starca, mającego lat 50. Starzec był brodiagą — a takich w lasach sybirskich jest dosyć.

— Nie tegoście przyprowadzili — mówi oficer.

— A tobie panie czy nie wszystko jedno — odpowiadamy.

Namysłiwszy się nieco, zgodził się wreszcie, przyjął go, i liczba była cała. Później niechaj sobie dochodzą, na czym etapie zaszła taka zmiana.

— A cóż starzec na to? — zapytałem.

— Z początku upierał się, tłumaczył, wydierał, bał się, czy z czasem nie oddadzą go do katorgi bez oznaczonego czasu. Mówił wiele, tak że nam się to nawet śmiesznem wydawało

— Stary jesteś, a jeszcze głupi — mówiliśmy do niego. — Kto ci przeszkadza, opowiedzieć w Irkucku całą historję, że nie jesteś aresztantem i że cię przez omyłkę za drugiego tutaj przyprowadzono. Tam zacząną urzędowe robić o tobie śledztwo, a ty cóż na tem stracisz, chyba tyle, że miasto na mrozie, będziesz siedział w ciepłe. Głupcze, pomnijże przecież, że w lesie stokroć gorzej, a i nie zawsze znajdziesz pożywienie.

Pomyślał starzec i pogodził się najzupełniej z losem.

— A czy nie rozgniewa się władza?

— A tobie co do tego. — Niech się gniewa, niech śledzi. Ty myślisz, że ona ci krzyż zawiesi na plecach za to, że jak wilk brodzisz po lesie? Nie bój się — takiej rzeczy nie lubią w Rosyji.

Starzec znowu się zamyślił, — widząc to, daliśmy mu rubla i zgodził się zupełnie. Poszedł z nami. — Jak się tam później tłumaczył, tego już nie wiem. Władza musiała pisać o nim wiele i prowadzić długie bardzo śledztwo. (C. d. n.)

Dr. Libelt

I MIESZKANIA NAWODNE.

Encyklopedyści zeszłego stulecia bili czas jakiś w księgi Mojżeszowe egipskiemi zodyakami, którym fantastyczna wyobraźnia bajeczne przypisywała lata. Historia zodyaków przeszła — pozostały atoli jej skutki, tj. niewiara brodząca we krwi w wielkiej rewolucyi wylanej. Chrześcijańska prawda w końcu zwyciężyła. Głupstwa zodyakowe nie

zwalczyły bożego objawienia — a więc za inną znowu broń ujęto. Badacze przyrody jeli w tem szczególniejszemu stuleciu wykazywać, że porządek sześciu dni, a raczej sześciu epok w obec naukowych odkryć ostać się nie może. Nuż tedy pruć ziemię. — Niestety nowy zawód — geologia badana sumiennie, dowiodła, że wszystkie zarzuty czynione Mojżeszowi na samych i to niesłychanie blahych, wspierały się przypuszczeniach. Naturaliści zbici z tropu, inne wyciągają *pro domo sua* argumenta i w inną uderzają stronę. Różnego gatunku wykopaliska, petryfikacye kości ludzkich, narzędzia z kości, kamieni, bronzu etc. mają być dowodem, że cały rodzaj ludzki, koniecznie cały, przechodził przez różnego rodzaju epoki, kamienną, bronzową, szkoda tylko że nie wodnistą jeszcze, jak owe najeżone hipotezami baterye, dopóki się nie ucywilizował całkowicie tak jak go dzisiaj widzimy. Wreszcie odkryto mieszkania nawodne i zbadano formacye torfisk, co wszystko razem wzięte, ma raz na zawsze zakwestyonować chronologią, stworzenie człowieka mającą na względzie i wprowadzić nas w jakiś labirynt chińskiej czy indyjskiej chronologii¹⁾. Uczeni, tego chcą i to koniecznie — baterye hipotez muszą być prawdą — *pro ratione stat* fantazyja, okraszona to słowem: prawdopodobnie, to odwoływaniem się jednego uczonego bonzy na zdanie drugiego... i basta. — Nauka postępy szalone robić musi, aby nas z gruntu europejskiej cywilizacji na grunt chiński przenieść. „Piękna rzecz, co ci bonzowie nauki chcą dziś z nami zrobić — mówił przed trzema laty jeden z uczonych francuzkich, chcą koniecznie, abyśmy byli Chińczykami — *en verité ce sont des Chinois.*“²⁾

U nas historiją mieszkań nawodnych i torfisk podniósł do takiego znaczenia dr. Libelt w piśmie, które się odznacza szczególniejszą pre-dylekcyą do chińszczyzny³⁾. Zaatakowana w ten sposób chronologia Mojżesza, wywołała odpowiedź w *Tygodniku Katolickim*⁴⁾. Sędziwy prezes Towarzystwa Naukowego w Poznaniu, dał na nią replikę⁵⁾. Dać koniecznie ją wypadalo! Pełno też w niej goryczy a więcej

¹⁾ Niech się chronologiczne rachuby (mówiliśmy poprzednio), jak chcą różnią nawet względem starożytności człowieka, nie tylko świata, my się w to w imię sformułowanej zasady katolickiej nie wdamy, (byle się kwestya obracała w zakresie chronologii historycznej, i byle szło tylko o lata, a nie zaś o jakieś epoki bajeczne, chińskie lub nieoznaczone), byle tylko badacz nie zawadził o dogmat stworzenia pierwszego człowieka, byle swoją kwestyę traktował, jako badacz ścisły, a nie jako panteistyczny marzyciel.

(W artykule p. t. „Moderantyzm“).

²⁾ *L'Age du Monde et de l'Homme. d'après la Bible et l'Eglise, par R. P. de Valroger, prêtre de l'Oratoire. — Paris, 1869.*

³⁾ *Tygodnik Wielkopolski* pierwsze numera r. b.

⁴⁾ Dr. Pawlicki w rozprawie p. t. *Antropologia przedhistoryczna i Chronologia Mojżesza.* — *Tygodnik Katolicki* Nr. 12, 13, 14.

⁵⁾ *Tygodnik Wielkopolski* Nr. 30, 31, 32. — „Kilka uwag nad artykułem p. Stefana Pawlickiego: „Antropologia przedhistoryczna i Chronologia Mojżesza“.

jeszcze rozrzuconych kwestyj do rzeczy wcale nie należących. Widocznie pisał ją szanowny prezes pod wpływem żalu, co nas wcale nie dziwi. Dr. Libelt przyzwyczajony zbierać ustawicznie same tylko dla siebie wawrzyny na polu liberalnego naszego piśmiennictwa, odbierać jeno zewsząd poklaski; po raz pierwszy może znalazł przeciwnika, który nie tylko że mu wypowiedział słowa prawdy, ale zmusił go jeszcze do przyznania się, że „nie jest specjalistą w geologicznych i nawodziskowych badaniach“. — Ztąd to rozżalenie, ta gorycz, to tłumaczenie się i owe nieszczęśliwe wycieczki na pole historii — mowa o inkwizycyi, konfiskatach, etc. etc. Koniec końcem, pisarz, który co dopiero stawiał w obec chronologii pisma, swoje zdania na badaniach geologicznych i nawodziskowych oparte, a stawiał je jako prawdę, kłam Mojżeszowi zadającą, jak skoro przyznaje się później, że w badaniach tych nie jest specjalistą, to tem samem odwołuje i potępia to, co poprzednio powiedział. Polemika więc w tej przynajmniej kwestyi już zupełnie skończona. *Ça suffit*. — Ale nam chodzi jeszcze o same już wycieczki wrogie nauce Kosciola, z prawdą mijające się najzupełniej. Bolesne też nadzwyczaj sprawiły one na nas wrażenie. Przywykliśmy bowiem dotąd w pismach dr. Libelta widzieć, bądź co bądź, męża poważnego, a tutaj jakież skok od chronologii i nawodzisk do... Galileusza! Wątpimy, aby się zdobyć mogli na dosadniejszy jeszcze pp. Albin Khun i ów ognisty młodzieniec Belza! Szkoda że dr. Libelt, rzucając nam katolikom Galileuszem w oczy, nie opisał zarazem i całego procesu inkwizycyjnego, tak jak go nam podaje Mallet du Pan, — i owych tortur, na których pierwszy falszerz tej historii wyciągał włoskiego astronoma i nie wspomniał o owem *è pur si muove!* byłby bowiem przy tej sposobności przygotował już dla przyszłego teatru poznańskiego komedią, w każdym razie lepiej może napisaną niż owa farsa Ponsarda. Dr. Libelt tego nie zrobił, bo brał całą tę rzecz na seryo, aby nas koniecznie przekonać że i prezesowi Towarzystwa Naukowego nie zupełnie świadomym jest postęp, jaki zrobiła krytyka na polu faktów historycznych! P. Henryk Martin, on co pod względem zasad jeżeli nie przechodzi, to co najmniej równa się z dr. Libeltem, inaczej się nieco na całą tę sprawę zapatruje¹⁾.

Po Galileuszu, nas katolików porównał następnie wielkopolski pisarz z Omarem, i to pałacym Aleksandryjską bibliotekę! Ha! jeżeli już mamy być Omarami koniecznie: dla tego, że nie chcemy uważać hipotez za prawdę, to czemuż będą propagatorowie bajecznych chronologii? Francuzki pisarz niezawodnie powiedziałby o nich *ce sont des*

¹⁾ Wiadomo, że w r. 1868 wydał on dość grubą broszurę, bo o 428 str. i w niej dokumentami przekonał, „że wszelkie torturowe historye o Galileuszu należą do rzędu zwykłych baśni“ a następnie, że sąd inkwizycyjny nie potępiał Galileusza nigdy za jego systemat słoneczny, ale za pisma w dziedzinę kwestyi dogmatycznych wkraczające. Zobacz „*Galilée, les Droits de la Science et la Methode des sciences Physiques*“ — par Henri Martin. — Paris. Didier.

Chinois. Nie chcą wierzyć powadze bożej, tak jak owi mędrcy za czasów Grzegorza Wgo, ale usiłują „*quae falsa sunt vera ostendere, quae vera sunt falsa demonstrare*“¹⁾ — i to ma być postępem nauki, z którym zmieniać się musi to, co księgi święte piszą o stworzeniu świata i rodzaju ludzkim²⁾, nauki, prowadzącej nas koniecznie do chronologii chińskiej, byle tylko nie ugiąć swego rozumu pod wiarę!

Tyle o owych w replice wycieczkach — inne pomijamy. Sprawiedliwość atoli wymaga, abyśmy zarazem podnieśli tutaj oświadczenie się sędziwego prezesa za władzą doczesną Ojca św., a podnosząc, mieli sposobność złożenia Mu za to od nas maluczkich, najgłębszej czci i podziękowania. Daj Boże, aby do cnót swoich domowych i obywatelskich i do tego szczerego oświadczenia się swego za sponiewieranem dzisiaj prawem Głowy Kościoła, przyłączył jeszcze sędziwy nasz pisarz i zupełną wierność nauce katolickiej. W on czas, jakichże usług oddaćby on nie mógł biednej ojczyźnie naszej? — którą tak serdecznie miluje!...

Ach! czas nam już, czas otworzyć oczy i przekonać się, do jakiego to upadku przyprowadzić mogą doktryny wrogie nauce Kościoła. Cóż-to zrobiła owa science francuzka, owa fałszywa nauka, z piękną Gallów ojczyzną? Nie jejże to przypisać należy ów moralny i fizyczny upadek tego narodu? Nie nasze to zdanie, ale p. Sainte-Claire Deville, członka akademii nauk, nie podejrzanego nigdy o zasady ultramontańskie — wypowiedział je na ostatniem publicznem akademii³⁾ posiedzeniu. Czyż i u nas nie robi ona olbrzymich postępów, rugując wiarę z serc i umysłów naszej młodzieży! Godziż się więc jeszcze wspomagać ją pracami takich pisarzy jak szanowny prezes? — wypadaż wspierać piórem swoim takie pismo jak *Tygodnik Wielkopolski*? pismo, godzące na żywotną siłę w naszym narodzie — pismo, zdolne zdenerwować tylko młodzieńcze umysły! Nauka to dzisiejsza, ów postęp rzekomy, powtórzmy za akademikiem francuzkim: „*c'est elle a amené une épouvantable destruction d'hommes et de choses; c'est par là surtout qu'elle a signalé ses progrès*, ona i nas do reszty dobić tylko może!

Zaprzestańcież wreszcie moi panowie rzucać nam katolikom frazesami o nauce i postępie! Poznaliśmy się już na nich — poznaliśmy się na Olichtrze. My się nie lękamy nigdy nauki. Nauka sumienna na naszą zawsze mówi korzyść. Wielkie epoki odrodzenia się życia katolickiego i rozszerzania się wiary, były zawsze epokami, w których bogato kwitły nauka i sztuki.

Kończąc to nasze o replice dr. Libelta sprawozdanie, umieszczamy niżej krótki artykuł z *Przeglądu Katolickiego*, wychodzą-

1) *Liber Mor. San. Gregorii Papae. Lib. 10 c. 16*

2) *Tygodnik Wielkopolski* Nr. 31. str. 374.

3) *L'Univers. 18 Juillet 1871. Causerie scientifique.*

cego w Warszawie, pióra, jeżeli się nie mylimy, X. Nowodworskiego, w którym autor skreślił historią mieszkań nawodnych ¹⁾.

X. EDWARD P.

* * *

Jest to smutny znak czasu, że wszystkie zdobycze nauki wyzyskuje niewiara przeciwko religii. Za ledwie jaki człowiek nauki ogłosi swoje odkrycie, znajdzie się zaraz cały chór „apostolów kultury nowożytnej“, którzy odkrycie to w swoją biorą opiekę i do nowości tej, która jako nowość przyciąga ku sobie ciekawe umysły, przyczepiają w interesie swojej doktryny hipotezy jak najryzykowniejsze, a zawsze, czy wprost, czy ubocznie, nauce wiary przeciwne.

Dzienniki i popularne prelekcje służą za środek rozpowszechnienia pomiędzy ogółem tych przeróbek materialistowskiej fantazy; że zaś te fabrykaty podają się pod hasłem nauki, przeto publiczność przyjmuje je skwapliwie, i oklaskiem sławy nagradza podających jad na zabicie jej wiary, a zatem i wszelkiego wyższego życia ducha.

Mieszkania nawodne zostały także w ten sposób spożytkowane; szacowne odkrycie, przyczyniające się nieco do odsłonięcia nieznannej przeszłości ludów zamieszkujących środkową Europę, wysławiać poczęto jako odkrycie epoki, sięgającej daleko poza czasy historyczne, poza czasy Adamowe.

Należy więc nam bliżej przypatrzeć się temu przedmiotowi, ażeby rozróżnić prawdę od fałszu, faktyczne odkrycia nauki i logiczne z nich wnioski, od czezych przypuszczeń i niczem nieuzasadnionych domysłów.

W styczniu 1854 r. woda na jeziorze Zurychskim opadła znacznie niżej niż zwykle. Nadbrzeżni mieszkańcy w Oberweilen, korzystając z okoliczności, zamierzili zdobyć sobie na jeziorze kawał gruntu, i w tym celu pomurowali na odkrytem dnie jeziora wysokie czworokąty, i zapelniali je ziemią kopaną w dwóch różnych miejscach dna tegoż jeziora. Przy kopaniu tem natrafiono na pale drewniane, stojące w głębi ziemi, a pomiędzy nimi odkopywano szczątki naczyń kuchennych, narzędzia kamienne, kości różnych zwierząt itp. Pale stały obok siebie na jedną lub półtóry stopy odległe, a tak zmurszałe, że dawały się rozbijać uderzeniem szpadla. Miejscowy nauczyciel zwrócił na te wykopaliska uwagę archeologów zurychskich, z pomiędzy których najgłośniejsze imię pozyskał sobie Ferdynand Keller. Poszukiwania tego badacza przekonaly, że na tych palach wznosiły się kiedyś mieszkania ludzkie ²⁾, i że znalezione różne pomiędzy palami przedmioty, są resztkami i śladami życia dawnych mieszkańców tych budowli.

¹⁾ Mieszkania nawodne czy świadczą przeciw chronologii biblijnej? — (*Przegląd Katolicki* Nr. 28. r. b.)

²⁾ I dla tego nazwał je *falbautami*, Francuzi nazywają je *habitations lacustres*, mieszkaniem jeziornemi, Anglicy *lake-dwellings*, budowlami jeziornemi, Włosi podobnie jak Niemcy *palafitte*.

Ogłoszenie Kellera o tych odkryciach zurychskich, pobudziło archeologów szwajcarskich, a następnie i zagranicznych, do poszukiwań na innych jeziorach i bagniskach. Tego samego roku jeszcze, w lutym, poznajdowano ślady mieszkań nawodnych w jeziorze Bielskiem, Neuenburgskiem, Genewskiem i innych. W każdym zakątku rzeczypospolitej szwajcarskiej nowe robiono odkrycia; utworzono muzea ze obieranych szczątków, napelniono dzienniki i ilustracye szczegółami poczynionych odkryć. Szybko szły odkrycia i w innych krajach: mieszkania nawodne znalazły się w Niemczech południowych, we Włoszech północnych, a następnie w Hanowerze, Meklenburgu, Pomeranii. Gorączka falbautowa, mówi Lindenszmitt ¹⁾ od archeologów przeszła dalej, przedarła się nawet do biurokracyi, i z urzędu polecano poszukiwania mieszkań nawodnych, uważając ich wynalezienie za zaszczyt dla kraju. Tego zaszczytu dostąpiło też Wielkie Księstwo Poznańskie uczony archeolog I. Łepkowski odkrył ślady tych budowli w jeziorze Ciszewskim, pod Gołańczą, w dobrach swego teścia, Karola Libelta ²⁾.

Zdawało się z początku po tych odkryciach niektórym, osobliwie też pragnącym doszukać się jakiego świadectwa przeciwko prawdzie objawionej, że nowy jakiś zupełnie nieznaną a wielkiej przedhistorycznej starożytności świat wynurza się z jezior środkowej Europy. Szperano też gorliwie w szlamie, w torfie, nietylko już, aby rozświecić ciekawy zabytek przeszłości, ale aby z ziemi wydobyć argumenta przeciwko chronologii biblijnej. Wkrótce jednak spostrzeżono, że mieszkania nawodne nie są taką niesłychaną osobliwością, za jaką naprzód je wzięto. Wprawdzie o falbautach Szwajcaryi, gdzie one w największej znajdują się liczbie, nie przechowała się żadna wzmianka u starożytnych pisarzy, ale za to o mieszkaniach podobnych w innych stronach świata wiadomości jest dosyć. Podróżnicy dawno już o takich budowlach u różnych ludów dalekich wspominali, ale na opowiadania te niewiele zwracano uwagi; dopiero po odkryciu falbautów europejskich poczęto zbierać rozrzucone o nich wiadomości. Dowiedziano się tedy, że nawodne mieszkania budują teraz jeszcze, albo nie tak dawno budowali, w Sumatrze, na wyspach Malezyjskich, na Karolinach, Celebesie, Ceramie, Labuamie i Nowej Gwinei. Na lądzie stałym falbautów używają Kamezadale, Korjaki (w gub. Irkuckiej), Chlińczycy w niektórych okolicach i Siamczycy. Layard znalazł mieszkania takie w błotach Eufratu. Baikie w środku Afryki znalazł wieś całą na jeziorze Tsad zbudowaną. I Ameryka miała swoje falbauty: Cooper widział domy na jeziorze Ontario, za czasów Korteza znaczna część miasta Tezkuko wznosiła się wśród jeziora, miasto Meksyk zbudowane było wśród wody w znacznej części na palach; dwie mile od Meksyku

¹⁾ Archiv für Anthropologie I, 52. Cytacye podajemy z Reuscha „Bibel und Natur“, 3 wyd. z którego głównie w tym artykule korzystamy.

²⁾ To też może odkrycie spowodowało p. Libelta do napisania w *Wielkopolaninie* artykułu o *mieszkaniach nawodnych*, w którym z żalem widzimy tego myśliciela stojącego po stronie wrogich chrystyanizmowi hipotez. St. Pawlicki w *Tyg. Katol.* (Nr. 13—15) pomieścił dobrą na ten artykuł odpowiedź.

znajdowało się około dwóch tysięcy mieszkań zbudowanych na wodzie. Herodot, historyk z 5go wieku przed Chr. opowiada, że na 50 lat przed nim, perski wódz Megabezus nie mógł pokonać pewnego pokolenia Tracji, ponieważ mieszkało ono w chatach wystawionych na palach jeziora Prasias. Prawo obowiązywało tam każdego nowożeńca do wystawienia trzech nowych pali w wodzie. Hipokrates podaje, że niektóre plemiona Kolchidy mieszkały na stawach. Arabski geograf Abulfeda w XIV wieku, wspomina o jednym jeziorze syryjskim, na którym były zbudowane na palach chaty, służące za mieszkania rybakom chrześcijańskim. Między płaskorzeźbami kolumny Trajana znajduje się wieś dacka; chaty tej płaskorzeźby podobne są do chat opisanych przez Herodota: dach ostro zakończony, budowa cała z desek, pale sterczą z wody, drzwi brak, wchód przez mały otwór; chatę na okolo otacza ostrokół.

Można więc z tych analogij przypuszczać, że szwajcarskie i inne europejskie budowle nawodne przez ówczesnych ludzi stawiane były, jako schronienie przeciwko nieprzyjaciółom, lub też dzikim zwierzętom; nie zgadzają się jednak na to badacze, czy te budowle były miejscem stałego zamieszkania, czy też tylko ucieczką w razie grożącego niebezpieczeństwa, czy też nareszcie składami towarów. Osady te jednak niekiedy były bardzo obszerne, skoro jedna z nich na jeziorze genewskim zajmowała 180,000 stóp kwadr.

Z wynalezionych pomiędzy palami resztek kuchennych i rozmaitych sprzętów i urządzeń można dosyć przybliżone mieć pojęcie o życiu mieszkańców nawodnych. Zwęglone rogi zwierząt domowych i klosy zbóż różnych przekonywają, że ludzie ci trudnili się rolnictwem i pasterstwem. Zboże zachowywali prawdopodobnie w grubych glinianych naczyniach, których liczne poznajdowano skoropy. Okragłe, z jednej strony wyszlifowane kamienie, których także dosyć znaleziono, służyły prawdopodobnie do mielenia ziarna. Oprócz zboża używali owi ludzie jabłek, gruszek, malin, jarzyn, jedli ryby i mięso dzikich i domowych zwierząt. Z kości, rogów, kamienia, bronzu lub żelaza, wyrabiali strzały, dzidy, noże, siekiery, młoty, szpilki, spinki i t. p. Len służył im na tkaniny. Ze zwierząt znaleziono szczątki wołu, owcy, kozy, świni, psa, niedźwiedzia, bawołu, wilka, dzika i jelenia.

Widocznie nie do dzikich ludów należeli mieszkańcy nawodni. „Naczynia ich, mówi włoski archeolog Pigoryni¹⁾, jak na owe czasy i na owe ludy, które je wyrabiały, rzadkiej są piękności, i niekiedy ukształtowane, jak gdyby według stylu etruskiego. Znajdują się czasem w ich liczbie naczynia gliniane, których powierzchnia czarnej świecącej się barwy z zadziwiającą sztuką napuszczana jest cyną“. Miecze, toporki, noże, nie tylko wykończonym kształtem swoim, ale i malowidłami się odznaczają; pięknie odlewane są też siekiery, spinki, szpilki, „które to ozdoby bynajmniej zazdrościć nie powinny, mówi tenże archeolog, przedmiotom zbytku noszonym przez włoskie i rzymskie panie!“ Bursztyn i cyna znajdowane w falbautach szwajcarskich; wskazują, że

¹⁾ W bibliotece warszawskiej r. z. str. 365.

lud ten miał stosunki handlowe z nadbrzeżem Bałtyckiem i wyspami Wielkiej Brytanii. Zresztą choćby i w bardzo dzikim stanie znajdowali się mieszkańcy nawodni, nie dowodziłoby to jeszcze tego, czego usilnie pragną dowieść materyaliści, że człowieka stanem pierwotnym był stan dzikości: dzikich ludzi wszakże mamy i dzisiaj; mogły więc podobnie wówczas w Europie środkowej zamieszkiwać ludy dzikie, gdy w innych stronach przemieszkiwały ludy ucywilizowane.

Pomiędzy palami nawodnych mieszkań, znajdowano, jak już w spomnieliśmy, narzędzia i sprzęty, już to kamienne tylko, już bronzowe oddzielnie, już razem z kamiennymi i żelaznymi pomieszane. Celem klasyfikacji podobnych przedmiotów starożytności, dawniej znajdowanych w grobach i torfach skandynawskich, duńscy archeolodzy podzielili dawną przeszłość swoją na trzy okresy: kamienny, bronzowy i żelazny (Pierwszy Thomsen 1837 r.). Następnie podział ten uogólniono i podniesiono do formuły oznaczającej konieczne te stopnie, po jakich ludzkość ze stanu dzikości przechodziła do wyższej cywilizacji. Fałbauty nie mało przyczyniły się do rozstąpienia tego podziału. Dziwna jest ciemnota ludzi oświecenijszych, dziwna wiara niedowiarków! Byle jakimś nowym rzucono im wyrazem, jaką nową teorią, jeżeli tylko powiedzą, że ten wyraz naukowy, że ta teoria oparta na obserwacjach ścisłych, choćby nauki i ścisłości żadnej w tem nie było, przyjmują je oni z wiarą najzupełniejszą, poświęcając dla tych mądrych nieocenionych nowych nabytków wszystkie skarby wiary, religii, zasady moralne, nawet zdrowy rozsądek. Iluż to ludzi nie dało się uwieść owym szumno i naukowo brzmiącym podziałem! Jak niegdyś dyalektyczna trójka heglowska, tak dziś dla wielu przedhistoryczna troistość kultury jest niezawodną, najoczywistszą prawdą. Kamień, bronz i żelazo zostały magicznymi wykładnikami epok przeszłości, na Bóg wie ile tysięcy lat przed Adamem sięgającej. I znaleźli się tak dokładni historycy owych dawnych czasów, że nadto jeszcze epokę pierwszą dzielą na dwie, na staro- i nowo-kamienną (I. Lubbock), a nadto pomiędzy peryodem kamiennym i bronzowym, dla niektórych stron świata podają epokę miedzianą. (Squiar i Davis w dziele o starożytnościach doliny Missisipi).

Ale przypatrzmy się bliżej temu podziałowi; zobaczymy, o ile on uzasadniony, i o ile, jeżeli uzasadniony, może być miarą starożytności człowieczego rodu.

Nie będąc nawet wielkim niedowiarkiem, powątpiewać można o takim ścisłym rozgraniczeniu epok kultury człowieczej, jeżeli to rozgraniczenie, jako właśnie ma tutaj miejsce, opiera się tylko na świadectwie wykopanych z ziemi zabytków: przypuścić bowiem możemy bardzo łatwo, że w jednym i tym samym czasie mogły być narzędzia i sprzęty z różnego robione materiału, z kamienia n. p. i bronzu, skoro nieraz znajdujemy jedne obok drugich; a chociaż niekiedy oddzielnie się znajdują, nie może to dowodzić jeszcze ich oddzielności dziejowej, bo broni i narzędzi kamiennych, jako łatwiejszych do nabycia, mogli jedni używać długo, kiedy bogatsi używali droższych metalowych. W stronach i czasach ucywilizowanych widzimy różnicę w tym

względnie pomiędzy różnemi klasami społeczeństwa: u dzikich ludów dziś jeszcze obok broni europejskiej droższej, używają starej swojej krajowej. Jak uczy Nilson ¹⁾, było tak w Szwecyi kiedyś; starszyzna miała broń metalową, szeregowce oszczepy kamienne. Gdyby za kilkaset, czy kilka tysięcy lat podróżnik jaki znalazł w kraju takim dwa groby, z których w jednym byłaby broń palna a w drugim oszczep, kołczan i strzaly, czy mólby logicznie wnosić, że to są zabytki dwóch różnych od siebie epok; że pierwszy grób pochodzi z bliższej nam, a drugi z nierównie odleglejszej epoki, czy wniosek taki byłby zgodny z rzeczywistością?

Egipcyanie dobrze znali żelazo, a jednak po największej części używali wyrobów bronzowych. Nie podchodzą więc pod formułę, podług której należećby powinni do drugiego przedhistorycznego peryodu. Podobnież Grecy przez wiele wieków używali bronzu, bo Cypr podstatkiem dostarczał im miedzi. Nie stopień kultury, ale łatwość otrzymania tego lub owego materiału stanowią o jego użyciu. Bronz widzimy długo w użyciu w epoce głęboko już historycznej; więc peryod bronzowy nie da się oddzielić od czasów historycznych. Kamiennego znów peryodu niepodobna oddzielić chronologicznie od bronzowego, tak często schodzą się ene razem w odkopywanych pozostałościach. Kamień, choć zarzucony został w życiu w powszednim, w religijnych obrzędach utrzymywał się długo, bo do końca poganizmu. Sieganie więc czasów jakichciś przedadamowych za pomocą tego sztucznego podziału wcale się nie udało. Wielu też badaczów podniosło swój głos przeciwko niemu, i jeżeli nie można powiedzieć, że jest już zarzucony, to pewno niedługo na to czekać będzie potrzeba. Pallman powiada: „podział na peryody: kamienny, bronzowy i żelazny, jako teoria naukowa nie zasługuje na żadne zbijanie. Może on mieć jeden cel praktyczny, ażeby leniwym dyrektorom muzeów ułatwić układanie starożytności, jeżeli ci nie chcą lub nie umieją lepiej spełniać swoich obowiązków od owego bibliotekarza, który dla piękniejszego układu swojej biblioteki bez względu na treść poukladał książki poług formatu. Dotąd z podziału tego nie osiągnięto żadnego światła chronologicznego i historycznego o owych ludach, które do tych różnych należeć mają peryodów ²⁾. To też nawet K. Vogt, ów głośny opowiadacz i obrońca zwierzęcej genealogii człowieka, a zatem i wielkiej starożytności człowieczego rodu, nie wierzy w dokładność tego podziału: „peryody, mówi on, kamienny, bronzowy, żelazny, stanowią tylko względne okresy zachodzące na siebie, a nie zaś oddzielne i po sobie następujące. Nawet na niewielkiej przestrzeni ładu europejskiego mogły wzdłuż rzek i wybrzeży zamieszkiwać ludy znające i używające metali, gdy tymczasem wewnątrz ładu mogły setki lat żyć jednocześnie pokolenia, niemające o takim użyciu najmniejszego przecucia. Dla tego łatwo przypuścić, że w Alpach nie znali jeszcze mieszkańcy nawodni użycia metalu wówczas,

¹⁾ Die Ureinwohner des scandinavischen Nordens. str. 89.

²⁾ R. Pallman, die Pfahlbauten, Greifswald 1866 s. 76.

kiedy użycie to było powszechne na wybrzeżach morza Śródziemnego¹⁾. Bardzo więc tu Vogt jest blizkim zdania, że kiedy mieszkańcy nawodni kamiennymi siekierami ciosali pale na swoje mieszkania, wówczas już dobrze od dawnego czasu ludy Azji korzystały z wynalazku Tubalkaina, „który młotem robił i był rzemieślnikiem wszelkiej roboty od miedzi i żelaza (Genes. IV. 22)“⁴. Ale nie podobnego nie wyrzekłby nigdy ten zawzięty wróg biblii i religii, owszem z właściwym sobie drwinkującym sposobem mówienia zapewnia on swoich słuchaczy „że biblijny Adam ze swoją chronologią przepadł w wodzie pomiędzy palami,“ co ma znaczyć, że fałbauty dowodzą wielkiej starożytności rodu ludzkiego, większej daleko niż na to pozwala podanie biblijne.

Ale skąd dowód tej starożytności, skoro jej trzy owe sławne kamienno-metalowe nie dowiodły peryody? Dowód ten wydobywają nam z obrachowań głębokości, w jakiej znajdowano ślady człowieka.

Szwajcar Morlot robił takie obrachowanie w pobliżu jeziora genewskiego, gdzie przy zakładaniu kolei żelaznej przekopano grunt, przez który płynie potok La Tinier. Największa wysokość przecięcia ponad szynami wynosi 32 $\frac{1}{2}$ stóp. Budowa obnażonego tym sposobem nasypu zdaje się być zupełnie regularną. Można tam było rozróżnić trzy różne w różnej głębokości pokłady ziemi, stanowiące niegdyś powierzchnię gruntu. Najwyższy z tych pokładów ma 4 do 6 cali grubości i leży cztery stopy pod powierzchnią; znaleziono tam kilka sztuk cegły rzymskiej i rzymską monetę. Drugi pokład, gruby na sześć cali leży 10 stóp pod powierzchnią; znaleziono w nim kilka skorup z niepolewanej gliny i spinkę brązową. Spodnia warstwa 6 do 7 cali gruba leży 19 stóp pod powierzchnią; znaleziono w niej skorupy gliniane bardzo grubej roboty, węgle i rozbite kości zwierzęce. Morlot więc najwyższy pokład zalicza do czasów rzymskich, średni do peryodu brązowego, najniższy do peryodu kamiennego. Do czasów rzymskich trzeba się dla Szwajcaryi cofnąć 13 do 18 wieków w tył. Jeżeli tedy przez tyle czasu potok nawiósł tylko 4 stopy, i jeżeli nanoszenie zawsze było prawidłowe, tedy dla peryodu brązowego wypadnie wiek od 2,900 do 4,200, a dla kamiennego od 4,700 do 7,000 lat. Ale całe to obrachowanie ważne ma przeciwko sobie zarzuty. Kilka skorup i jedna brązowa spinka nie wystarczają jeszcze do przyznania drugiemu pokładowi pochodzenia z peryodu brązowego. O najniższym pokładzie, Vogt nawet wyraża się tylko, że może należy on do peryodu kamiennego: zwykłych kamiennych i rogowych sprzętów, uważanych za cechę tego peryodu, wcale tu nie znaleziono, a co się tyczy kości, Rüttimeyer, archeolog szwajcarski, jeden z najkompetentniejszych sędziów w kwestyi fałbautów, zapewnia najwyraźniej, że pochodzą one ze zwierząt, które wcale się nie różnią od ras dzisiejszych, a zupełnie się różnią od ras dawniejszych, uważanych za należące do peryodu kamiennego; uważa więc on je za bardzo nie dawne. Nadto, Morlot wychodzi z przypuszczenia, że potok nanosił zawsze jednakową ilość nasypu; tymczasem nie zawsze się tak dzieje, bo potoki nie

¹⁾ Archiv. für Anthropologie 1, 8.

wzbierają nigdy jednakowo; jedno nadzwyczajne wezbranie może niekiedy przez kilka dni więcej nanieść ziemi, aniżeli zwyczajne wezbrania naniósłoby jej przez długie stulecia, a naniesiona ziemia osadzi się tak regularnie po bokach, jak gdyby najzwyczajniej stopniowo się osadzała ¹⁾.

Cale więc obrachowanie Morlota opiera się na słabych podstawach, bo wszystkie w niem dane niepewne; naturalnie więc, cyfry tego obrachunku nie mogą być w żaden sposób przeciwstawiane chronologii biblijnej. Morlot też sam rachunek ten uważa za niepewny; i mybyśmy się nad nim tak długo nie rozwodzili, gdyby pomimo jego bezzasadności nie powoływano się na niego ustawicznie w dziełkach popularnych i artykułach dziennikarskich, jakoby na niezachwiany jaki pewnik naukowy ²⁾.

Inny Szwajcar Troyon wiek mieszkań nawodnych innym jeszcze próbował obrachować sposobem. W pobliżu Yverdon leży bagnisko, z którego wystaje skała około 400 stóp wysokości; u stóp tej skały w głębokości 8 do 10 stóp znaleziono w torfie pale budowli nawodnych. Odległość ich od jeziora wynosi 5,500 stóp. Nad brzegiem jeziora na tamie przechodzącej przez torfowisko leży Yverdon, rzymskie Eburodunum. Podług Troyona miasto to miało za czasów rzymskich leżeć nad samem jeziorem, dziś odległe od niego jest na 2,500 stóp. Jeżeli zaś jezioro przez 1,500 lat cofnęło się o 2,500 stóp, tedy 3,300 lat potrzeba mu było na cofnięcie się o 5,500 stóp od budowli nawodnych. Podług więc tej rachuby budowle te przypadająby na drugie tysiąclecie przed Chrystusem. Nie przeszkadza to chronologii biblijnej, ale podług tej samej metody obrachowane ustępowanie jeziora bielskiego daje podług Gillierona poważniejszą już liczbę 6,000 lat. K. Vogt jednak zwraca uwagę, że obrachowania te oba na mylnej opierają się podstawie; że czas cofania się jeziora należałoby obrachowywać, nie poziomem jego ustępowaniem, ale pionowem jego opadaniem ³⁾. Ale i ten względ nie daje pewnego rezultatu, bo nie możemy wiedzieć, czy dawniej ten sam był co później stosunek ustępowania wód, i czy nie zaszła kiedy jaka wyjątkowa katastrofa, która w jednej chwili więcej wpłynęła na poníženie wody, aniżeli długie kiedyindziej lata.

Mógł więc Lyell z najzupełniejszą słusnością po tych obrachowaniach powiedzieć, że próby szwajcarskich uczonych oznaczenia wieku mieszkań nawodnych wcale się nie udały. Starożytność ich zmaląa

¹⁾ Uwagę tę zrobił Andrzej Wagner, prof. zoologii i paleontologii w Monachium, zmarły 1861 roku w sprawozd. bawarsk. akad. nauk 1861 II, str. 29. *Bedenken über einige neuere Versuche, das Alter der europäischen Urbevölkerung zu bestimmen.* Na zdanie to zgadza się Vogt (*Vorlesungen über den Menschen II, 149*), który zazwyczaj zawsze staje w opozycji temu uczonemu.

²⁾ Tak n. p. u Desora, *die Pfahlbauten des Neuenb. Sees* s. 130, *Le Hon, L'homme fossile en Europe son industrie etc* p. 116, 140. Podobne obrachowania znajdują się w *Archiv. für Anthropologie III.* 157, 159, 3^o 8, 362.

³⁾ *Vorlesungen II, 152.*

bardzo. Hochstetter ¹⁾ przypuszcza, że pochodzą one z 1go tysiąclecia przed Chr.; Franciszek Maurer ²⁾ mieści je pomiędzy 8 a 5 wiekiem, Pallman ³⁾ czas ich oznacza na ostatnie 4 wieki przed Chr.; Hassler ⁴⁾ zgadzając się z Fraasem ⁵⁾ sądzi, że największa część budowli nawodnych pochodzi z trzeciego przed Chr. wieku, a o dawniejszych mówi: nie mamy najmniejszego tytułu do przenoszenia ich za 1000 lat przed Chr., a wiele przyczyn do naznaczenia im późniejszego czasu*. Mamy więc szereg uczonych, którzy bez najmniejszego względu religijnego, czysto tylko opierając się na danych nauki, przyszli do przekonania, że najdawniejsze falbauty nie sięgają poza pierwsze tysiąclecie przed Chr. Do tego dodać jeszcze możemy ważny artykuł Augsburgskiej gazety ⁶⁾, w imieniu geologów odpierający wszelką odpowiedzialność za wyrachowania wieku mieszkań nadwodnych: „Ferd. Keller, czytamy tam, najgruntowniejszy badacz w tym przedmiocie, nigdy się nie kusił na wyrażenie liczbami wieku mieszkań nawodnych, ponieważ do tego brak jest wszelkiej naukowej podstawy. I dla tego to właśnie ani Desor, ani znakomity petersburgski akademik, Bär, który szczegółowo badał pierwotne czasy ludzkości w Europie, ani Lyell, ani żaden z duńskich archeologów, nie odważyli się nigdy na wypowiedzenie hipotezy o liczbie lat tych budowli. Nawet próba Morlota geologicznego obrachowania pokazała się zupełnie niedostateczną. Cóż tedy sądzić należy o tych na lodzie budowanych hipotezach i lekkomyślnych kombinacjach, na jakie sobie pozwalają ludzie, którzy nawet nigdy na miejscu tych zabytków przeszłości nie oglądali, a tylko po złupieniu pracy Kellera decydują o wieku i pochodzeniu falbautów, i nieudolne swoje teorie w świat puszczają, jako arcyładne wynalazki? Ferd. Keller nie bez powodu wypowiedział niedawno swoje oburzenie, że nawet bardzo poważne niemieckie dzienniki podobne głoszą teorie“.

Pokazało się więc w kwestyi mieszkań nawodnych raz jeszcze, co już tyle razy na różny sposób się powtarzało: bardzo rozgłośny i naukowemi niby popierany argumentami zarzut przeciwko chronologii biblijnej, pokazał się naukowo zupełnie nieuzasadnionym. Chronologia biblijna wytrzymała krytykę falbautową. Prawda zatryumfowała, tak jak zawsze ostatecznie zatryumfować musi.

Ks. M. N.

¹⁾ Oesterreich. Wochenschrift Dec. 1864, 1610.

²⁾ Ausland 1864, 913.

³⁾ Die Pfahlbauten s. 31, 161.

⁴⁾ Deutsche Vierteljahrschrift 1865 I. Heft s. 80.

⁵⁾ Vor der Sündfluth. s. 469.

⁶⁾ 1864, 30 grudnia Nr. 365 dodatek.

O METODZIE SCHOLASTYCZNEJ, JEJ GENEZA, ROZWIJANIE SIĘ I DOJRZAŁOŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Święty Anzelm. — Stosunek rozumu do wiary. — Hugo od św. Wiktora. — Albert Wielki i św. Tomasz z Akwinu. — Roscelin, Abelard, Erygena. — Racyonalizm teologiczny. — Niemiecki Hermes. — Dom Rivet. — Św. Bernard o dyalektyce Abelarda i o zamachu na prawa rozumu. — Cousin. — Trojaki kierunek ruchu teologicznego w średnich wiekach. — Czem się różnią pomiędzy sobą. — Kontemplacyjni i ich definicya umiejętności ludzkich. — Ryszard. — Św. Bonawentura. — Mistycy. — Tauler. — Rujsbrock. — Gerson. — Wiek XII. — Pozytywiści i scholastycy, wedle Dom Rivet'a, Fleury'ego i niemieckiej historycznej szkoły.

Wierny metodzie uświęconej przez Ojców Kościoła, metodzie, która sama jedna jest w prawdziwej harmonii z charakterem nauki chrześcijańskiej, święty Anzelm stawia wiarę jako punkt wyjścia do wszystkich poszukiwań scyentyficznych. Wiara jest u niego argumentem i regułą wiedzy prawd objawionych, dla samego rozumu niewidomych, podług tego jak ją w drugiej części swej boskiej definicyi oznaczył apostoł w liście do żydów (ἐλεγχος οὐ βλεπομένων rozdz. XI w. 1). „Chrześcijaninowi, powiada św. Anzelm, żadną miarą nie godzi się rozprawiać w sprzeczności z wiarą Kościoła; nie wolno dowodzić, jakoby mogło coś być inaczej, niżeli Kościół naucza, lub jakoby mogło niebyć to, co Kościół sercem wierzy i usty wyznaje¹⁾; lecz każdy w badaniach swoich zawsze winien mieć zwróconą uwagę na tę wiarę, a trzymając się jej oburącz i miłując ją, podług niej, ma szukać pokornie, o ile się godzi, jakim sposobem i dla czego tak jest, jak Kościół naucza. Jeżeli zdoła wyrozumieć, Bogu niech dziękuje, niech się nie miota rogami rozumu przez odrzucanie czego nie rozumie, ale niech schyli głowę ku uczczeniu prawdy, którą wierzy. (*De fide Trinit. c. 2.*)“ „Oczywistą jest bowiem rzeczą, że ci grzeszą brakiem silnej wiary, którzy, ponieważ tego co wierzą, rozumem zbadać nie mogą, rozprawiają przeciwko prawdzie będącej przedmiotem wiary, wyznaniem

¹⁾ *Nullus Christianus debet disputare quomodo non sit, quod catholica Ecclesia corde credit et ore confitetur, sed semper eandem fidem indolitanter tenendo, amando et secundum illam humiliter, quantum potest, quaerere rationem quomodo sit.*

świętych Ojców stwierdzonej, jakby nieprzymierzając nietoperze i sowy, w nocy tylko widzące, chciały rozprawiać o promieniach południowego blasku przeciwko orłom, które w samo słońce wzrok niewzruszony utkwily (*Ibid.*).“

Wiara jednakże, której się święty Anzelm domaga od teologa, nie jest to już tylko wiara czysto teoretyczna, proste skłanianie umysłu przed symbolem chrześcijańskim. Żąda on wiary, któraby nie ustępując praw swoich w obec uroszczeń i miotań się rozumu, rozjaśniała umysł i sprawiała pewną transfigurację duszy, wznosząc ją do godności rozważania prawdy w preczystym blasku tej prawdy: „*Neque enim quaero intelligere ut credam, sed credo ut intelligam*“. Nie szperam, abym dopiero uwierzył, lecz wierzę, abym rozumiał; wprzód jednakże (powiada) wypada oczyścić serce, a przez straż pilną zakonu pańskiego wzrok amysłu zaostrzać.“ Chce on zatem, aby teolog był człowiekiem szczerej wiary, czystego serca „inaczej niech się nie kusi wejść na górę pańską i spocząć na świętym jej szczycie“.

„Wierzyć i miłować“, czyż to już cały teolog? „Nie, odpowiada św. Anzelm, to tylko grunt teologa, a przytem *conditio sine qua non* badań prawdziwie teologicznych. Co do samych badań — mająż się one ograniczać na samem pozytywnem poznaniu źródeł objawienia, na samem uznaniu, że dogmata będące przedmiotem wiary, rzeczywiście pochodzą od Boga? Pozytywna strona jest konieczna, bez niej nie miałyby rozum co i jak badać, nie miałyby pod sobą gruntu, lecz ona sama nie stanowi jeszcze umiejętności. Czegóż więcej trzeba? Trzy wyrazy z księgi św. Anzelmia pod tytułem *Proslogium* myśl jego i przekonanie o naturze i celu nauki teologicznej tłumaczą. Te trzy wyrazy są: *fides quaerens intellectum*. Teolog wychodzi z punktu wiary, a dąży do wiedzy, w której wiara sama się bada, tłumaczy i sama z siebie zdaje sobie sprawę. Tę myśl potwierdza następującem zdaniem w traktacie pod tytułem *Cur Homo Deus?* Jak prosty porządek rzeczy wymaga, abyśmy wprzód głębinę chrześcijańskiej nauki wierzyli, nim się poważymy rozpatrywać w nich rozumem, tak zdawałoby mi się być niedbalstwem, gdybyśmy umocniwszy się w wierze, to, co wierzymy, o ile być może wyrozumianem, wyrozumiewać nie usiłowali“.

Współcześni Hugona od świętego Wiktora zwali tego teologa drugim Augustynem, albo językiem Augustyna (*Alter Augustinus, lingua Augustini*), i zaiste Hugo zasłużył pod pewnym względem

na ten zaszczytny tytuł; wszakże tytuł ów w całym znaczeniu i sile należy się Anzelmowi. Z wszystkich doktorów średniowiecznych on najwięcej zasługuje na to porównanie. Albertus Magnus, św. Tomasz z Akwinu, przewyższają Anzelma rozległością i rozmaitością wiedzy, ale co się tyczy głębokości, oryginalności, żywości i twórczości geniuszu, św. Anzelm nie miał współzawodnika w wiekach średnich, a tem mniej mógłby go mieć w naszych nader chudych czasach. Nieszczęściem tylko, że badania Anzelmowe, to są oderwane traktaty. Systematu teologicznego, karność dogmatów *ex professo* przeprowadzonej, nie znajdziemy w jego dziełach. Wszakże według pochwyconej i sformułowanej głównej jego myśli, wnet i plan utworzono i wedle planu budowę wzniesiono.

Roscelin, słynny kanonik regularny z Compiègne, naczelnik nominalistów, subtelny dyalektyk, występuje z metodą tak zwaną czysto-dyalektyczną; — idee zastępuje wyrazami i próbując swego systemu w badaniach około dogmatu Trójcy, w najgrubsze popada błędy. Według tego systemu, trzy osoby Trójcy, to trzy osobne substancje, lub jeżeli nie, to tylko trzy czcze wyrazy bez żadnej odpowiadającej im rzeczywistości. Św. Anzelm wsparty na realizmie, walczy potężnie błędy Roscelinowego nominalizmu, a na samym wstępie dzieła w tym celu napisanego o dogmacie Trójcy i Inkarnacyi, przypomina mu, że zaniechanie w badaniach teologicznych metody uświęconej przez Ojców jest razem zuchwałe i nierozumne. Dziśby może powiedziano, że Roscelin, jak później Abelard, jak przedtem Erygena, rozwinął skrzydła samodzielności. Po prawdzie zaś mówiąc, Roscelin stawiając swój nędzny system nominalizmu, jako regułę i miarę dogmatu chrześcijańskiego, wyrwca z gruntu metodę teologiczną i podnosi śpiący już w okrytych grubym pyłem księgach Erygeny, racjonalizm teologiczny. Hermes niemiecki małpował go tylko.

Co szczególnego, to że właśnie w tej epoce ledwie doścignętych dla dzisiejszego oka głębin średniowiecznych, i to z powodu samychże nadużyć ówczesnych badań scjentyficznych, przedstawia się już silnie odrysowany, nie tylko stosunek metody scholastycznej do filozofii i teologii, ale nadto sam stosunek dyalektyki do owej metody bardzo często branej za jedno i toż samo z dyalektyką, jak i z metodą racjonalistyczną.

Benedyktyn Dom Rivet, jeden ze znakomitszych erudyków, chwale tego Zgromadzenia stanowiących, lecz za nadto wyłącznie metodzie pozytywnej czyli historycznej hołdujący, w krytycznych

swoich spostrzeżeniach, popadł właśnie w takie owych pojęć o dyalektyce, o metodzie scholastycznej i metodzie racjonalistycznej, pomieszanie. Twierdzi on, że Abelard, ta więc świetna niż głęboka średniowieczna postać, jest pierwszym otwartym ojcem racjonalistycznej czyli scholastycznej metody. Twierdzenie to swoje opiera na fakcie, że Abelard pierwszy zastosował ściśle mechanizm dyalektyczny do umiejętności teologicznej.

Kwestya, o ile to jest prawdą, że przez ściśle zastosowanie dyalektyki do teologii, Abelard stał się ojcem metody racjonalistycznej lub nawet scholastycznej, kwestya ta, mówię, zależy od innej kwestyi, to jest, czy samo wprowadzenie w zakres umiejętności teologicznej już ma być racjonalizmem. Ta zaś druga kwestya zależy jeszcze od pojęcia dyalektyki. U Abelarda dyalektyka panuje jako samowładczyni absolutna i nieuznająca dla siebie żadnych granic. Zamiast służyć wierze, ona chce wiarę kontrolować, chce nad nią rej wodzić, chce ją zepchnąć na stopień potulnej hołdowniczki, albo raczej niewolnicy. Czego rozum nie rozumie, nie zgłębi, tego wedle Abelarda, przyjąć nie może, to powinien odrzucić. Według takiej metody, dla wiary niema całkiem miejsca w umiejętności. Jest to oczywiście najgrubszy racjonalizm; wszakże to nie stało się z powodu zastosowania procesu dyalektyki, tylko z powodu jej nadużycia; tem zaś mniej godzi się to nazywać metodą scholastyczną. Święty Bernard w tych kilku słowach streszcza ultra-racjonalistyczne zasady Abelarda: „Wiarą ma kierować światło naturalnego rozumu. Wierzyć, nierozumiawszy rzeczy w sobie, nie zgłębiwszy jej wszechstronnie, rzeczą jest lekkiego umysłu. Tak postępuje, kto puszcza wiarę przed rozumem. Wyznawać to, z czego sobie sprawy człowiek zdać nie może; nauczać tego, czego się dotykał dla rozumu uczynić nie zdoła, to zamach przeciw prawom rozumu. Jednem słowem, nie dla tego wierzyć się coś powinno, że to Bóg powiedział, ale się dla tego przyjąć powinno, za powiedziane przez Boga, że się rozum sam przekonał, iż rzecz, którą przyjmuje, taką jest istotnie, za jaką ją rozum przyjmuje.“ Dalej, zaiste, zuchwałstwa racjonalizmu posunąć nie można. Ale nie wiedzieć co tu winna dyalektyka, której proces jest całkiem podmiotowy, podczas kiedy sprawa powyższemi zdaniem rozstrzygana, jest natury czysto przedmiotowej, idzie w niej bowiem o zrozumienie i przyjęcie prawd objawionych, a umysłowi do przyjęcia przedłożonych. Metoda scholastyczna wprowadza także w zakres umiejętności, nawet teologicznej, dyalektykę i wprowadza ją

ściśle, ale właśnie dla tego, że ściśle, przeto się nią tylko posługuje według natury przedmiotu lub prawdy, ale jej nie zamienia w jakiś kwas rozwiązujący wszystko, ani jej pozwoli, aby same prawdy historyczne lub objawione od skalpela rozumowego robiła zawiste. Dyalektyka wówczas wdałaby się w nieswoje rzeczy, jak w nie swoje rzeczy wdawałby się proces eksperymentalny, dobry w przedmiotach zmysłowego zakresu, gdyby chciał wyrokować o prawdach zakresu umysłowego, i gdyby realność prawd umysłowych czynił zależną od swego uznania.

Jak Dom Rivet, zaprowadzenie procesu dyalektycznego w zakres umiejętności teologicznej, stawia jako powód, dla którego Abelarda mianuje ojcem metody scholastyczno-teologicznej, tak Cousin ogłasza tegoż Abelarda naczelnikiem filozofii scholastycznej i równa go z Eckartem, ojcem nowoczesnego racjonalizmu; w nadmiarze zaś swego entuzjazmu, Abelarda z Kartezjuszem (Dekartem) zowie dwoma największymi filozofami, jakich wydała kiedykolwiek Francja. Obadwa, tj. Abelard i Kartezjusz zaczynają od wątpienia, a owocem swych poszukiwań chcą jak najabsolutniejszej wiedzy. Obadwa po za linię bezwzględnej oczywistości ani na włos nie chcą postąpić, czy to rozprawiają o ideach samego umysłu, czy o prawdach leżących po za umysłem, przedmiotowych, takich nawet jak Bóg, dusza i stworzenie. Dobrze też powiedziano, że jeżeli rzeczywiście na dwóch takich filozofów Francja potrzebowałaby się wysilić, toby zaiste nie bardzo świetnie o bogactwie jej umysłowych zasobów świadczyło.

Zostawiając na boku zdanie pana Cousin o Abelardzie, jako o ojcu filozofii scholastycznej i zdanie Benedyktyna Dom Rivet'a o ojcostwie Abelarda względem teologii scholastycznej, przyjrzymy się i jednej i drugiej, tj. tak filozofii jak teologii ze względu na metodę scholastyczną, jako wielkiemu wyrobowi wieków średnich. Zbliźmy się do tej epoki średniowiecznej, która zdaniem co raz dzisiaj powszechniejszem, a podług nas, jedynie słusznem, przedstawia w sobie rozwiniętą i wykończoną metodę scholastyczną. Bliższe rozpatrzenie się w tym przedmiocie zdolne będzie mnóstwo przesądów przeciw wartości prac średniowiecznych usunąć i dać należyte wskazówki do sprawiedliwego ocenienia charakteru i fizjonomii tej epoki w najwyższy sposób teologicznej.

Ruch teologiczny w średnich wiekach wzięty ze stanowiska ogólnego, przedstawia nam się w trzech różnych kierunkach. Kie-

runek pozytywny, powtórnie kontemplacyjny i mistyczny, a na koniec kierunek ściśle scholastyczny.

Szkoła, w której przeważa dążność kontemplacyjna, różni się pod dwoma szczególniejszymi względami od właściwej scholastyki. Nad metodę dyalektyczną, przeważającą w scholastyce, szkoła kontemplacyjna przekłada metodę intuicji, podczas, gdy scholastyka przechodzi proces logiczny, charakteryzujący w ogóle filozofię grecką; szkoła kontemplacyjna, wznosząc się do widzeń intuicyjnych, zbliża się raczej do starożytnej filozofii orientalnej. Tak zwana scholastyka absolutna zamykała się wyłącznie w zakresie poznania prawdy, w zakresie zimnej wiedzy; w niej prawda zdaje się zrywać związek z miłością i przebywać w zimnych krainach rozumowania oderwanego. Kontemplacyjni znowu, stawiając w miejsce abstrakcyjnej analizy, realności żywej, o tyle tylko zajmowali się prawdą, o ile to zajęcie się przybliży do pełnego życia duszy. Oto, jak ci ostatni rzecz swoją tłumaczył w sposób obrazowy:

„Umiejętności ludzkie są jak gdyby dnia świtaniem, którego niepewne światło walczy jeszcze z ciemnościami błędu. Skoro dusza pocnie rozważać prawdy przedwieczne w czystym świetle objawienia, wówczas cienie poranku pierzchają. Następuje dnia duchowego południe. Sfery, czyli przestrzenie, przez które dusza przebiega, wznosząc się do źródeł światłości, są pełne gorejących blasków obejmujących i na wskrós przenikających duszę; to chwila, w której dusza sposobi się, i że tak powiem, układa się do rozważania w miłości. Prawdy i prawo moralne, wysnute z boskich tajemnic, oraz idący za ich spełnieniem pokój i wesele serca, tworzą nareszcie wieczór umiejętności oraz dokonanie pracy. Dusza w godzinie spoczynku oczekuje, rychło się wzniesie nie znający zachodu ani przemian wielki dzień wieczności.“

Szkoła ta ma licznych i świetnych przedstawicieli. Święty Bernard, Ryszard i Hugo od świętego Wiktora, św. Bonawentura, to jej naczelnicy. Inni wyłącznie jeszcze niż te wzniosłe postacie zajmując się teologią mistyczną, tem różniącą się od kontemplacyjnej, że gdy ta ostatnia zaczyna od działań umysłowych i do sfer miłości przechodzi dopiero jakby w konkluzji całego procesu rozważania; mistyczna tym czasem, więcej prawdami się cieszy, niż rozważa — w samym zaś rozważaniu więcej się troszczy o żywotne przez akt miłości z prawdą najwyższą zjednoczenie i o to, aby regułami i mechanizmem ascezyi serce i wolę wprost zatrudnić, aniżeli o to, aby się umysł widzeniami swymi w prawdy zapuszczał,

a z nich dopiero bodźce miłości i prawidła ascezyi wysnuwał. Tauler, Rujsbrock, Gerson, to mystycy pierwszego rzędu. Cel naszej pracy nie pozwala nam się więcej nad tą szkołą zastanawiać; wspomnieliśmy zaś o niej jedynie dla tego, aby zapobiedz jej zmieszce ze szkołą ściśle scholastyczną, i aby choć pobieżnie wskazać, w jakim stosunku miały się prace i usiłowania szkół kontemplacyjnych i i mystycznych do metody scholastycznej dochodzącej w wiekach średnich do swego zenitu.

Wszakże scholastyka pod tym względem nierównie dokładniej da się oznaczyć w zestawieniu ze szkołą pozytywną.

Wiek XI dał stanowczo początek obydwu tym szkołom, które z całą siłą odrysowały się dopiero na tle wieku XII. „Jedni tedy to jest pozytywiści, jak pisze Dom Rivet, w traktowaniu umiejętności religii opierali się wyłącznie na gruncie powagi. Pismo św., ustawy Soborów, dekreta Stolicy świętej i Ojcowie Kościoła, to źródła ich badań i rozumowań. Drudzy, tj. scholastycy posługiwali się tymczasem czystem rozumowaniem, broń swoją brali wyłącznie z arsenału dyalektyki; Pisma świętego używali tylko ubocznie, podług upodobania i w znaczeniu dowolnem, najczęściej alegorycznem. Obydwa te obozy, im mocniej przychodziły do świadomości swego odrębnego bytu i swojej natury, tem otwarciej stawały przeciw sobie do walk nieraz najzaciętszych. Pozytywni skarżyli scholastyków o ducha nowatorstwa, nawet o ducha kacerskiego; scholastycy ze swej strony przedstawiali swoich przeciwników jako ludzi bez głębszej znajomości rzeczy, bez talentu, owszem, jako bezmyślnych zestawiaczy i kompilatorów pisma i tradycyi, jako ludzi zdolnych tylko niewolniczo cytować teksta i niemi wojować. Młodsze umysły ciążyły ku scholastykom. Żwawość dyskusyi, świetność dowodzenia, a z drugiej strony poklaski i opinia wielkości była po ich stronie.“

Tak scholastyków sądzi Dom Rivet — tak ich sądził Fleury, tak ich osądziła cała szkoła historyczna w Niemczech i we Francyi, tak ich szczególnie osądzono w epoce najsmutniejszego upadku umiejętności i teologicznej i filozoficznej, tj. w wigilię dni naszych; sądy zaś u nas, słyszeć się dające w tym przedmiocie, są po większej części, w samych nawet przybytkach nauki, nędznem echem najnędzniejszych uprzedzeń.

(C. d. n.)

KARTA WSPOMNIENÍ

Berlieza Sasa.

(Ciąg dalszy.)

Żeby się nie rozwlekać zanadto w opowiadaniu, zamilczę o następnych wycieczkach naszych, które się niemal przez cały miesiąc powtarzały. Nie było pałacu, pomnika, kościoła, lub zbioru rzadkości artystycznych, któreby uniknęły badania naszego. Co chwila odkrywałem w Grazielli nowe skarby szlachetności, nowe przejawy zdrowego sądu o rzeczach. Trafność poglądu jej, żadną teorią nie kierowana, zdumiewała mię. Poetyczność naiwna i samorzutna, wolna od wszelkiej afektacyi i przesady (które mi się nasze światowe damy odznaczają), opromieniała ją ciepłą, żywotną atmosferą, działającą błogo na serce moje, tylu ciosami dotknięte, a więc znękanę i smutną. Wszystko, co mówiła, albo milczeniem wyrażała, było napiętnowane rezygnacją, pobłażaniem, miłością! tchnęło wiarą gorącą w sprawiedliwość wyroków boskich i kornem poddaniem się onym!

Czułem, że nie jedna miłość, tylko, wiązała mię z jej bytem, lecz, rzadsze od miłości, uczucie szacunku i czci nie znającej granic. Czułem, że kochając tę niezmierną istotę i obcując z nią codziennie, pozbywałem się wad wielu i ułomności; stawałem się lepszym; przeradzałem się duchowo w blaskach wyższej moralnej sfery, od tej, w której dotąd istniałem. Usta jej młode, prawie dziecinne, przemawiały do mnie nieraz słowem napomnienia, lub tkliwego wyrzutu; usta jej sączyły mądrość, gdyby nektar cudowny, co naturę moją łagodził, oświecał, uzacniał. Było to wróżbą dla mnie szczęśliwą, dowodem jej przychylności i współczucia. Widziała jasno w sercu mojem, przeczytała tajemne karty wyznań i pragnień jego — i chciała żeby żadnej na niem plamy nie pozostało, żadnej przywary, mogącej znieważyć święte serc przymierze, dozgonną miłość wzajemną.

W obejściu swoim ze mną była swobodną, jak z bratem lub przyjacielem od dzieciństwa. Nieraz bywało, zimne słowo *Signor*, tkliwszem *mie caro* zamieniała. A jednak, nie poważyłem się nigdy odpowiedzieć tymże wyrazem, choć żywo pragnąłem, bo mię do tego porywy serca nagliły. Nie uchodziło to jej baczenia. Widziała walkę miłości mojej ze czcią jaką czułem dla niej. Widziała, że

się powściągać muszę, karcieć samego siebie i do wytrwania w roli przyjętej zniewalać. To postępowanie moje, nie zostawało bez uznania i wynagrodzenia. Codziennie rosła w niej wiara we mnie — wiara w rzetelność i w wysoką godność miłości mojej. Co chwila otwierało się szerzej łono jej przedemną, odkrywając tajemne prawdy wrażeń swoich — kosztowne klejnoty niewinności i cnoty.

Byłem tedy szczęśliwy, jak mało kto nim był kiedy! — Byłem szczęśliwy, bo chociaż edeńskim słowem kocham, nie zażbrniały jeszcze jej usta, wszystko w niej mówiło, zem był kochany — wszystko mówiło, że będę nim do grobu!

Podczas jednej z wycieczek naszych, bez zamierzonego celu, opowiedziałem Grazielli na jej żądania bolesne dzieje przeszłości mojej. O zemście tylko zaprzysiężonej i pojedynku z baronem Arnoldem, zamilczałem, z obawy, żeby nie odstręczyć jej serca od siebie. Śmierć matki mojej poruszyła ją do łez. Skończyłem już narrację moją, a ona zostawała jeszcze niemą, pod wpływem wrażeń doznanych. Westchnąwszy potem, wzięła rękę moją, ścisnęła ze współczuciem i rzekła:

— *Mio caro!* — Stało się, co się stać miało. Bóg zesłał na ciebie cierpienie i tyś Jemu za to błogosławić powinien. On wie, co czyni. Jeżeli dotyka człowieka, to nie bez przyczyny i nie bez miłosiernego celu. Zesłał śmierć na matkę twoją, bo chciał położyć kres jej mękom doczesnym i wieczną błogością cnotę jej wynagrodzić. Zesłał na ciebie sieroctwo, żebyś lepiej pamiętał o przedwiecznym Ojcu niebieskim i usiłował zostać godnym wszechmocnej opieki Jego. — Młoda jestem i nieuczona, to prawda — ale nie ja przemawiam do ciebie w tej chwili; nie ja, *mio caro!* lecz dusza moja dusza oświecona wewnętrznym objawieniem prawdy niezaprzeczanej, którą dla tego wyznaję, której dla tego hołduję, że ją nie rozumem, lecz uczuciem pojmuję, nie myślą osądzam, ale sercem kocham! Wszak i mnie dotknęło nieszczęście — wiesz o tem. Cios był gwałtowny i nagły. Zdrowie nie wytrzymało, i uległo. Stan więc, w jakim widziałeś mię, nie pochodził z braku wiary w sprawiedliwość boską, lecz z braku sił ciała. Nie rozpacz trawiła mię, ale gorączka. Nie byłam grzeszną przeciw niebu, lecz byłam chora, bardzo chora! Nieprawdaż? — Z powrotem zdrowia i dusza odzyskała swą siłę, i umysł dawną odzyskał pokorę. Nie jestem ja wesołą, ale spokojną przynajmniej i gotową przyjąć kornie cios każdy, jakimby się podobało Bogu dotknąć mię jeszcze.

— O! bądź dobrej myśli! — zawołałem z wzruszeniem. — Żadnego tobie ciosu przyszłość nie gotuje!

— *Chi lo sa?* — odpowiedziała smutnie. — Za nic ręczyć nie można, bo któż swych losów prorokiem? Nie chcę taić przed tobą (bom klamać nie zdolna), że znam uczucie twoje dla mnie — oceniam je i powinnabym, zdaje się, witać sercem wesołem, co za szczęście być kochaną rzetelnie — być kochaną na zawsze. A przecież..... miłość twoja tak droga dla mnie..... Widzisz, żem szczerą? — Miłość, którą podzielam — straszy mię i smutku duszy nie rozprasza!....

— *O! cara mia!* — zawołałem, cisnąc jej ręce do ust moich. — Cóżby to znaczyć miało? Wyznaj otwarcie! wypowiedz! wypłacz wreszcie tęsknotę twoją, żeby jej nic a nic w sercu nie pozostało! bo na cóż ma stawać chmurą pomiędzy mną i tobą? na co ma krępować swobodę uśmiechu twego? i drzeniem obawy łono twe poruszać?.....

— Cóż powiem tobie? — przemówiła po chwili Graziella. — Sama nie wiem z kąd pochodzi to, czego doznaję. Czy to błąd, przecucie? czyli prawda jasnowidzenia? Może jedno i drugie? a może nic z tego, tylko cień dawnego wrażenia, co mię o chorobę przypawiło, i jeszcze się z duszy nieulotniło zupełnie? Może wreszcie..... lecz nim się wytłómaczę, zapytam: Czy wierzysz ty w tajemne działanie sił niezmysłowych natury na byt człowieka? Czy wierzysz w stosunek planet z naszym doczesnem przeznaczeniem? — Mów!¹⁾

— Nie mam zwyczaju — odpowiedziałem — przeczyć temu, czego nie rozumiem. Dopuszczam, że mogą istnieć takie kombinacye sił natury i takie sojusze świata widzialnego z niewidzialnym, o jakich się nawet ludziom i nie przyśniło. Dopuszczenie to, nie jest jeszcze wiarą, ale nie jest także i przecuciem. Żeby w co uwierzyć, lub czemu przeczyć, trzeba mieć przekonanie, że tak jest lub inaczej -- a ja go nie mam dotąd.

— Słusznie, *mio caro!* — rzekła Graziella. — Musiałeś jednak czytać lub słyszeć o ludziach, co się odgadywaniem przyszłości wyłącznie trudnili; co sobie na tem polu obszerną wziętość zjednali. Ta wziętość ich czyliż nie jest dowodem trafności wróżby, a tem samcem i wierności środków?

¹⁾ Wiadomo, że we Włoszech wiara w tego rodzaju zabobony do dziś dnia jeszcze się utrzymuje.

— Być może! — odpowiedziałem. — Wiem, że od najdawniejszych czasów ludzie usiłowali zawsze rozszerzyć ciasny zakres władzy swojej i ziemskiego szczęścia, zapomocą przymierza z wyższymi potęgami natury, ba nawet z światami duchów. Jedni szukali w tyglach i retortach kamienia wszechwiedzy; kombinowali zagadkowe pierwiastki eliksiru wiecznej młodości; dochodzili znaków kabalistycznych, wyrzeczeń magicznych, do zaklania, wywoływania i ujarzmania sobie usługujących geniuszów i demonów. Drudzy udawali się do mistycznych talizmanów i amuletów, którym tajemną przypisywali władzę. Rzym i Grecya, używały mnogich formuł wieszczenia. Lot ptaków, wnętrzości zwierząt ofiarnych, najprostsze nawet zjawiska fizycznej natury były dla nich wskazówkami złej lub dobrej przyszłości. Wieszczenie przez sól¹⁾, koguta²⁾ i mąkę³⁾, były także we zwyczaju. Do dziś dnia wróżki i wróżbici czytają w kawie, kartach, liniach dłoni. Co do tak nazwanych astrologów, dla których firmament miał być sybillińską księgą przeznaczeń, wiecznie otwartą i niemylną, wiele o nich czytałem, wiele rozmyślałem, a chociaż nie nabyłem dotąd przekonania o racjonalności zasad astrologii, wyznaję, że wysoka jest poetyczność w tej nauce.

— I mnie także — przerwała Graziella — choć mój pobożny spowiednik, Fra Bartolomeo nazywa grzechem każde pokuszenie się człowieka odgadnąć swoją przyszłość. On mówi, że skoro się Bogu podobało zakryć przyszłość przed okiem ludzkim, nie godzi się dążyć do jej odkrycia, jakby na przekor Bogu.

— Fra Bartolomeo ma słuszość — odpowiedziałem — tem bardziej, że w tej niewiadomości tego co nas tu czeka, spoczywa największy dowód miłosierdzia boskiego. Klęska niespodziewana, raz tylko dotyka; nie dręczy przedwczesną boleścią oczekiwania. Wolę zatem nie badać przyszłości. — Niech będzie co ma być!

— Może to rozsądniej, *mio caro* — rzekła Graziella. — Ale każdy ma swoją odrębną naturę. Tyś rozważniejszy odemnie i cierpliwszy, bo chłodniejszy — zwyczajnie jako syn śnieżystej północy. Jam niecierpliwa i mniej rozważna, więcej od ciebie drażliwa i ciekawa, bom kobieta przecie, a do tego Wenecyanka. — Cóż dziwnego, że myślę inaczej, i wolę wiedzieć zawczasu dobre lub złe, jakie mi przyszłość gotuje? Zdaje mi się nawet, że wiem

1) *Alomanteja*. — 2) *Alektromanteja*. — 3) *Aleuromanteja*.

tę tajemnicę — że posiadam klucz zagadki — że widzę jasno w przeznaczeniu mojem!

— Któż wtajemniczył ciebie w tę wiedzę proroczą? Zkąd pewność, że objawienia tej wiedzy nie są błędne? — pytałem Graziellę z niespokojnością, bo się mi zdawało, że pogoda jej czoła nagle się zaćmiła.

— Nie szydź tylko ze mnie — przemówiła po chwili. — Opo-
wiem ci jak było, i co było. Rok temu już będzie, ukazał się w We-
necyi cudzoziemiec jakiś, który zwrócił na siebie powszechną uwagę.
Jedni nazywali go doktorem i cuda o biegłości jego w sztuce le-
karskiej opowiadali. Drudzy mieli go za wielkiego filozofa (pamię-
tam słowo, choć znaczenia jego nie rozumiem), unosili się nad jego
przemądrością i twierdzili, że nie było takiej gałęzi nauk, w ja-
kiejby nie celował. Byli nawet tacy, którzy przypisywali jemu po-
siadanie czarnoksiężkich tajemnic, groźnych temu, coby nienawiść
jego wywołał. Podobne wieści, obiegając wszystkie klasy mieszkańców
Wenecyi, rosły co raz więcej, barwiły się coraz jaskrawszymi kolorami
wymysłu, nadając zagadkowemu cudzoziemcowi jakiś fantastyczny,
prawie nadnaturalny charakter. Nazwisko jego było Tadmoro.
Przyjaciółka moja od dzieciństwa, Antonia Salviatti, odwiedziła nas
dnia jednego z różnemi wiadomościami o nim. „Czy wiesz Gra-
zieiło — mówiła — jakie się u nas dzieją cuda? Mamy w We-
necyi proroka, co czyta w przyszłości jak w otwartej księdze. On
przepowiada, wróży, zgaduje minione koleje ludzi zupełnie jemu
nieznanych, których nigdy nie widział — słowem, zadziwia, a na-
wet przeraża. Całe miasto o niczem więcej nie mówi.“

Te słowa Antonii obudziły we mnie żywą chęć sprawdzenia
proroczego daru Tadmora. Chciałam się przekonać, czyli przepo-
wiednia jego okaże się zgodną z tem, co się od dzieciństwa pra-
wie w mojem sercu odzywa, wróżąc cierpienie i śmierć przedwczes-
ną. Postanowiłam tedy być u niego.

Wysoko jeszcze stało słońce, kiedyśmy, okrywszy twarze ma-
skami, udały się z Antonią do jego mieszkania. Murzyn straszliwy
siedział u wchodu, bogato, po wschodniemu ubrany. Z pod pą-
sowego zawoju świeciła para złośliwych oczu; a przez sardoniczny
uśmiech, którym obwisłe wargi wykrzywił, lyskały dwa rzędy dra-
pieżnych zębów, białych gdyby z kości słoniowej.

Na pytanie nasze, czyli pan jego był w domu? nic nie odpo-
wiedział, tylko ręką na drzwi wskazał, dając do zrozumienia, że
wejść możemy. Weszłyśmy tedy. — W obszernej sieni leżał na

łańcuchu ogromny brytan, z którym igrał poufale obrzydliwy karzeł, podwójnym garbem obciążony, z demonicznym wyrazem na czarnej gdyby heban twarzy. Skoro nas spostrzegł, brytan zawarczał gniewnie, lecz karzeł poskromił go głosem, i dał nieme hasło ręką, żebyśmy szły dalej.

W pierwszym pokoju, obszernym i sklepionym wysoko, w ostre łuki, jak w kościołach niektórych, stały ciasno szafy machoniowe, do muru przyparte. Co w nich było? nie wiem. Na nich umieszczono marmurowe popiersia jakichś starców brodatych, snąc mędrców starożytnego świata. W każdym kącie dźwigał słup porfirowy starożytną amforę lub urnę. Środek pokoju zajmował stół owalny, o blacie alabastrowym, na którym leżały bezładnie księgi wielkiego formatu, w staroświeckich pargaminowych oprawach z miedzianymi klamrami do zamykania. Jedna z nich była otwarta. — Karty jej zapisane były dziwaczными literami, jakich nie zdarzyło mi się widzieć. Znaki jakieś tajemnicze, trójkąty, koła, gwiazdy, krzyżujące się linie, rzekłbyś kabalistyczne godła, czarnoksiężkie hasła, pomieszczone były pomiędzy wierszami tego niepojętego tekstu. Wyznaję, że pewny rodzaj niespokojności przebiegł po mnie w obec tych cyrografów magicznych, których moc (jeżeli istniała w istocie) pochodziła prawdopodobnie z nieczystych źródeł, przez Kościół potępionych, przez Boga wyklętych. Na tę myśl, uczulałam bojaźń i przerażenie. Przypomniałam sobie demoniczne oblicze negra co siedział u wchodu, straszliwego karła co igrał z brytanem. Czy nie były to duchy zakłète? — pomyślałam — za pośrednictwem których Tadmoro widział głębię czasów i zdarzeń? Stracona z równowagi wyobraźnia moja, w coraz większy przychodziła zamęt, coraz straszliwsze wywoływała potwory i widma. Stan Antonii nie był innym. Pomyślałyśmy tedy obie o jak najspieszniejszym odwołaniu z tych złowrogich murów na jasne i czyste przestworze. Miałyśmy już nawet myśl naszą skutecznie, gdy się nagle podwoje rozwarły, i Tadmoro stanął przed nami.

Zdawałoby się, że pojawienie się jego, w chwili trwożnego usposobienia naszego, powinno było powiększyć jeszcze obawę i pomięszanie, które nas do ucieczki nagliły. Stało się jednak inaczej. Słodczy oblicza Tadmora i godność sędziwa jego postawy, miały w sobie coś do tyła uspokajającego i budzącego zaufanie, że, gdyby na skinienie czarnoksiężkiej laski, wnet się poczułam émielszą i spokojną. Był-to starzec poważny i majestatycznego wzrostu. Turban z białego kaszmiru obwijał skroń jego wyniosłą. Długa broda

biała, opadająca na piersi, żywo odbijała na tle jego czarnej długiej, fałdzistej odzieży, spiętej w stanie, rzemiennym glansownym pasem, w którym świeciły srebrne znaki, podobne do tych co w owej tajemniczej księdze widziałam. Łagodny uśmiech owiewał usta jego, jakby zachęcając do ufności. Oczy także wyrażały uprzejmość i dobroć, ale razem i rozum głęboki i przenikliwość pewną siebie.

— Chcecie, żebym wam wróżył? — rzekł do nas łamanem weneckiem narzeczem, z gardłową intonacją, właściwą wszystkim urodzonym na wschodzie, jakich mi się słyszeć zdarzało.

— Tak, *Signor* Tadmo — odpowiedziałyśmy.

Oczy wrózbity uderzyły w tej chwili z takim naciskiem, że od magnetycznej siły onych aż z miejsca strąconą byłam.

— Nie bój się! — przemówił Tadmo — zrzuc maskę i chodź ze mną. Dwom osobom wróżyć nie mogą jednocześnie. Twoja towarzyszka niech tu zaczeka.

Widząc wahanie się moje, dodał z uśmiechem:

— Boisz się? — Bądź spokojną! Nie mam złych zamiarów.

Ośmielona temi słowy, a więcej jeszcze tonem jakim były wypowiedziane, zrzuciłam maskę i udałam się za nim.

Pokój do którego mię wprowadził, miał charakter zupełnie różny od poprzedzających. Nie było w nim bocznych okien. Sferycznym otworem różnobarwnie zaszklonym, wpadało dzienne światło z góry, tworząc na białych ścianach komnaty smugi promienne i tęcze. Stosy rękopismów, oraz ksiąg, podobnych zewnątrznie do tych, jakie w pierwszym pokoju widziałam, leżały na długich półkach, szczelnie do muru przytkniętych. Kilka stołów niejednostajnej wielkości, tu i ówdzie bez symetrii ustawionych, dźwigało mnóstwo przedmiotów, o których znaczeniu żadnego pojęcia nie miałam. Obok sfery niebieskiej, wielkiego rozmiaru, z wyobrażeniem gwiazd i planet, złotem nabijanych, stały na trójnogach mosiężnych jakieś szkła w ramach, jakieś ogromne rury metaliczne na nóżkach. z obu stron zaszklone, to znowu klepsydry, zegary różnych gatunków; słoje wielkie i małe, jedne przezrocze jak łaża, drugie płynem kolorowym napełnione. Na ścianie przeciwległej wejściu, malarz jakiś wyobraził przestrzeń bez granic. W środku zawiesił kulę ziemską — a nad nią napisał płomienistemi głoski: *Ananke*. Wyraz ten został po dziś dzień dla mnie zagadką. Czy nie mógłbyś mi go objaśnić?

— *Ananke* ma w greckim języku to samo znaczenie co rzymskie *Fatum*. Wyraża przeznaczenie niczem nie dające się odmienić ani odwrócić.

— Pojmuję teraz znaczenie owego malowidła na ścianie — przerwała Graziella. — W niem zawarł artysta osnowną zasadę astrologii. Było to coś nakształt szyldu tłumaczącego znaczenie miejsca, oraz powołanie jego właściciela. Ale wracam do mego opowiadania. — Tadmoro usiadł przy jednym ze stołów; rozłożył wielki arkusz papieru i nakreślił kontur nieba, który podzielił na dwanaście równych części. Potem zapytał mię o rok, miesiąc, dzień i godzinę mego urodzenia; zanotował moją odpowiedź i zagłębił się w jakieś mozolne kombinacye, które wyrażał na tablicy niezrozumiałymi znakami i cyframi, zaglądając kiedy niekiedy, jakby dla sprawdzenia wniosku, do jakiejś księgi, na której napisane było z wierzchu *Efemerydy*. Z niespokojną ciekawością wpatrywałam się w to jego zajęcie, oczekując niecierpliwie, aż mi swój wyrok proroczy ogłosi. Lecz on trwał ciągle w milczeniu; coraz się głębiej pograżał w dumie, zaciekał w badaniu; sprawdzał, porównywał, odmieniał, to nakreślił, to wymazywał całe szeregi znaków, by je nowemi zastąpić, z których także okazywał się niezadowolonym. Twarz jego, spokojna przedtem i uprzejma, coraz się stawała surowszą i smutniejszą. Pewny rodzaj nawet boleści i przeobrażenia odbijał się na niej, jakby w obec widzenia jakiegoś, co pogodę ducha mąciło, sercem dotkliwie wstrząsało. Widoczną w nim była walka i pasowanie się. Zdawało mi się, że chciał przemówić, ale się wahał. Czy to było kuglarstwem tylko, dla wzbudzenia silniejszego wrażenia? czy rzeczywistą wiarą w nieomylność nauki, która mu coś niedobrego, coś groźnego dla mnie objawiła? Kiedym tą myślą była zajęta, Tadmoro rzucił pióro z niechęcią; odtrzącił kartę z moim horoskopem, spojrzął na mnie ze współczuciem i rzekł:

— Nauka, której jestem tłumaczem, głosi, że losowi każdego człowieka przewodniczy planeta ¹⁾, pod którą się urodził, to jest, że nieć mistyczna łączy byt jego doczesny z bytem ciał niebieskich pod warunkami wzajemnego ich na siebie działania. Zgo-

¹⁾ Puryści raczą mi przebaczyć, że odmówiłem planecie męzkiego rodzaju. Według mnie ten planeta, ten kometa, to coś takiego nieharmonijnego, że wolę narazić się regule, niż drażnić słuch polskiego czytelnika taką kakofonią.

dnie z tem, coś powiedziała o swoim przyjsciu na swiat, ulozylem stan nieba owczesny, i przyszlosc twoja wyczytalem. Chcesz-li zebym ci ja powiedzial?

— Łatwo odgadniesz *mio caro* — ciągnęła dalej Graziella — że nie miałam racji być ciekawą przeszłości mojej, albowiem doświadczyłam jej sama; ale chciałam poddać próbie rzetelność Tadmora i trafność jego nauki; chciałam usłyszeć o tem co było, żeby się przekonać, jakiej wiary mogło zasługiwać prorocstwo jego o tem co będzie. Prosiłam więc Tadmora, żeby przeszłość moją opowiedział.

— Dobrze — wyrzekł astrolog — ale słuchaj bacznie każdego słowa mojego, bo raz wymówione, nie powraca. Wenus panowała na niebie w chwili urodzenia twojego. Jej wpływ na twoje życie byłby zbawienny, gdyby nie szkodliwa przewaga Marsa, wróżącego zawsze jakiś niepomyślny obrót okoliczności. Jakby usprawiedliwiając starożytne podania o bogini miłości, planeta Wenus dała ci powab zewnętrzny, poetyczność ducha i serce zdolne szlachetnie uderzać; słowem, dała ci wszystko to, co ubarwia doczesność i jej cenę podnosi. A przecież.... dnie twoje ubiegłe, nie były bez cieni..... Nie będąc jeszcze sierotą, byłaś już nią niestety. Miałas ojca, lecz nie znałaś go; nie wiedziałaś, czy żyje? i gdzie żyje? Młodość podniecała umysł twój do mar i nadziei uroczych; budziła twe łono do pieśni; twe ciało do żywych i eterycznych ruchów wesołego tańca. Zdarzało ci się jednak, i to często, uczuć gorycz wewnętrzną, doświadczyć bolesnego ukąszenia gadziny tęsknoty. Bładły wtedy i wędły róże twego pokoju — mrok opadał na czyste blaski twego wesela — i byłaś smutną — cierpiącą — nieszczęśliwą! Wyznaj — czy zgadłem?

— Zgadłeś! zgadłeś! — rzekłam pełna podziwu i przerażenia. — Ojciec mój.....

— Objawił się tobie niespodzianie — przerwał skwapliwie Tadmoro. — On wracał z dalekich krajów, gdzie długie przepędził lata, tęskniąc za tobą, bolejąc nad twojem sieroctwem. Przybycie jego było najświetniejszym peryodem gwiazdy twoich przeznaczeń. Opiekunczą miłość ojca wionęła radością na życie twoje. Swobodniej usta pieśnią zabrzmiały. Polotniej rzeźwił się twój stan wesela i zachwytu. Byłaś pełną wiary w nadzieję doczesności — pełną pokoju i szczęścia. — Wyznaj, czy zgadłem?

— Zgadłeś mistrzu! zawołałam.

— Lecz Mars — ciągnął dalej Tadmoro — zamącił wpływ zbawienny twej planety. Poruszył toń spokojną dni twoich Jakieś niebezpieczeństwo zagroziło ojcu twojemu — jakiś cios zawisł nad nim. Tyś cierpiała srodze. — Ciężką obawą napełniło się łono. Wenus przemogła w końcu. Złe minęło. Cicho i jasno zrobiło się w twem sercu. Znowu byłaś szczęśliwą. — Wyznaj, czy zgadłem?

— Dość już słyszałam — mówiła dalej Graziella — żeby uwierzyć w naukę Tadmora. W kilku słowach skreślił on całą przeszłość moją. Nie pojmowałam jak tego dokazał, ale zaprzeczyć nie mogłam, że dokazał, i byłam przerażoną tem co się stało.

Tadmoro milczał. Oczy miał spuszczone i smutne oblicze. Dzień skłaniał się już ku wieczorowi. Perłowe półmroki pływały w komnacie, gdyby tęskne i uroczyste dumy, pełne poetycznej tajemniczości i tło myśli moich nie było jasne. Ten człowiek niepojęty, poruszył wszystkie struny mojej przeszłości — i długo brzmiały one we mnie ponurym rozstrojem, zamętu i wrzawy. — W uczuciach, jakich doznawałam w tej chwili, trwoga jednoczyła się z wyrzutem sumienia. Przypomniałam sobie słowa dostojnego spowiednika mego Fra Bartolomea, i cierpiałam, że wbrew im postąpiłam. Czułam, że byłam w stanie grzechu, że ciężko przewiniłam — a jednak... nie mogłam poskromić w sobie żądzę poznać przyszłość moją — usłyszeć wyrok przeznaczenia z ust wieszczych astrologa.

Jakby czytając w duszy mojej, Tadmoro przemówił z niezwykłym wzruszeniem:

— Pragniesz objawienia przyszłości? Chcesz, żebym ci ostatnie słowo twego horoskopu powiedział? Dziecko! — igrasz z żądzą niebezpieczną! Pieścisz straszliwą gadzinę, nieświadoma jej żądła i jadu! Stąpasz niebaczenie ku przepaści, zakrytej zielonością i kwieciami; nie wiesz jeszcze, że przyszłość nie zawsze edenem, nie zawsze błogością i życiem — ale najczęściej piekłem rozpaczy, grobowcem najdroższych nadziei serca! Z jej głębi wioną jęki i łkania! Śmiech szyderycy harpii rozczarowania rozlega się przeraźliwym echem w jej ciemnych i bezdennych pieczarach! Dajmy pokój przyszłości, dziecko moje! Są tacy, przed którymi nie waham się podnieść tajemniczą zastonę, żeby ich ostrzedz, przerazić i do poprawy pobudzić. Lecz tyś czysta, niewinna, przed Bogiem i ludźmi bez skazy. Nie badaj przyszłości i nie wymagaj żebym ci ją ukazał. — Mnie żal ciebie!

— Mistrzu! — rzekłam do głębi wzruszona. — Więc los mój nie będzie szczęśliwy?

— Gdzie tu jest szczęście na ziemi? — odpowiedział boleśnie Tadmoro. — Czy jest taki, coby podczas swej doczesnej żeglugi nie doznał burzy lub rozbicia i bez szwanku do portu dopłynął? Jednych ogołociły nawałnice z klejnotów złudzeń i wesela. Inni wiarę w siebie samych i w bliźnich postradali. — Najszczęśliwsi ci, których sumienie, ów nieoceniony ładunek życia, pośród wzburzonych odmętów nie zatoneło. Niema więc trwałego szczęścia na ziemi! Są jasne chwilki — błyski znikome — nic więcej! Tak chciał Bóg, którego mądrość prowadzi człowieczeństwo ku celom Jemu jednemu wiadomym, lecz niezaprzeczenie opiekuńczym i miłosiernym. I twoja przyszłość w Jego ręku. Nie szukaj zatem objawień tej głębokiej tajemnicy gdzieindziej, tylko w Bogu! Ufaj Jemu, korz się przed Nim — błagaj Go, a mroki losów twych uleczą — piorun grozący im zagaśnie, i doznasz takiej miary pomyślności, jaka tu na ziemi jest możebną!

Po tych słowach, wyrzeczonych z tkliwym współczuciem, Tadmoro poszarpał kartę mego horoskopu i cząstki onej z niechęcią porozrzucił. Oblicze jego przybrało wyraz rzewnej dobroci, gdy mię odchodzącą do drzwi odprowadzał, i ujawszy dłoń moją, mówił:

— Dla ciebie, dziecko moje, drzwi domu tego zawsze będą otwarte. Odwiedzaj mię, nie jako astrologa, lecz jako rzetelnego przyjaciela, który będzie rad pocieszyć ciebie i dopomódz tobie w każdej potrzebie. — Pamiętaj o tem!

— Sprawdziło się tedy co serce przeczuwało! — rzekła do mnie po chwili Graziella. — Jasne były słowa Tadmora. Cierpienie leży na dnie mojej przyszłości. Prędko gwiazdę moją pochłoną tumany i mroki. Ledwie błysnęłam — zagasnę!

Kiedy tak mówiła, wiatr gwałtowny od kanału *Orfano* naleciał na gondolę naszą w chwili jej krętego powrotu do kanału *della Giudecca*, i ledwie jej nie wyrócił. Zręczności i sile Fidelia obowiązani byliśmy, żeśmy uniknęli niebezpieczeństwa.

Już dobrze ciemnieć poczynało. Niebo wróżyło noc burzliwą. Chmury płynęły czarną powodzią. Wody kanałów szumiały i Adryatyk odzywał się groźnie z daleka.

Fidelio silnie napierał na wiosło — pospiesznie wiosłem wywijał. Mimo oporu fali i nacisku bokowego wiatru, bystro przybliżaliśmy się do brzegu. — Wkrótce wylądowaliśmy szczęśliwie.

Signora Ottavia była niezdrową kiedy wprowadziłem *Graziellę* do jej mieszkania. Niespokojność o nas, przyczyniła się nie mało do jej cierpienia. W istocie, godzina była już spóźniona — burza coraz się gwałtowniej wzmagiła — dla trwoźnych wrażeń kochającego serca dość było, zdaje się, powodów. Jakoż powitała nas okrzykiem radości. *Graziellę* pochwyciła w swoje objęcia i najtkliwszą okryła pieczęcią. Mnie pogroziła palcem, trochę połajęła z uśmiechem, w końcu przebaczyła.

Miałem już odejść, bo czułem się nieco znużonym; sama delikatność wreszcie wymagała tego odemnie. Lecz kiedy składała życzenia dobrej nocy, *Graziella* powołała mię do swego pokoju, mając, jak się wyraziła, coś ważnego do powiedzenia.

(C. d. n.)

CZY JEZUICI ZGUBILI POLSKĘ?

I.

Rząd Jezuitów jest-li despotyczny. -- Ślepe posłuszeństwo i kosmopolityzm. — Cele i widoki zakonu. — Zarzuty wzajemnego szpiegowania, zwolnień nauki moralnej, niedozwolonego handlu i królobójstwa.

(Dokończenie.)

Z Anglii przenieśmy się do Portugalii Jan III, pod którego szczęśliwą gwiazdą Portugalia doszła do szczytu politycznej potęgi i bogactw ogromnych z nowego świata nagromadzonych, zstąpił zawczasie do grobu, zostawiając żonę w stanie poważnym i przyszedł po nim na świat syn Sebastyan, a królowa wychowanie jedynego potomka wielkiego Jana, dziedzica potężnego państwa, powierzyła Jezuitce.. Ludwikowi Gonzalves de Kamara. Z natury do wielkich rycerskich dzieł pochopny młody książę, wzrósł pod kierunkiem surowego mentora na dzielnego bohatera, którego wojenne zapaly hamować należało. W dwudziestym roku życia przedsięwziął pierwszą wyprawę do Afryki pomyślnym uwieńconą skutkiem. O. Gonzalves był przeciwnym tym więcej awanturczym niż niepolitycznym wojnom. Mamy o tem świadectwo Hieronima de Mendoza, nieodstępne go króla towarzysza w afrykańskich wyprawach. Według zapisków tego męża w „Jornada de Afrika“ jezuita wtenczas dopiero radził królowi wyprawę na Afrykę „kiedy naród ujrzy czterech albo pięciu królewskich synów, nadzieję przyszłej pomyślności królestwa, którzyby na tron ojcowski wstąpić mogli — kiedy nieobecność królewska na żadne niebezpieczeństwa lub

zaburzenia nie narazi królestwa, kiedy nareszcie i żołnierz dostateczny i wojenne zasoby i skarb należycie opatrzony zostanie!'' Wkrótce potem umarł O. Gonzalves zostawiając króla w nieutulonym żalu. „Nie znałem, wołał smutny król, innego ojca jak O. Ludwika i wiem aż nadto dobrze, ile wycierpiał odemnie i dla mnie.'' O. Maurycy Serpio został spowiednikiem królewskim Tymczasem wbrew woli radców królewskich, jak Marcina de Kamara, kardynała Henryka i starego Maskaryni, wbrew prośbom i przedstawieniom O. Maurycego i Jezuitów, król przedsięwziął drugą niefortunną wyprawę do Afryki, która się skończyła klęską pod Alkazar i śmiercią króla d. 4 sierpnia 1578 roku. Nieprzyjaciele Jezuitów ułożyli z tego powieść, że „Jezuici najprzód wszelkimi sposobami przeszkadzali małżeństwu króla, potem korzystając z młodzieńczego zapалу podsunęli mu nieszczęśliwą myśl zawojowania Afryki, tak więc Sebastjana wydali na jatki, a to w tym celu, aby osieroconą Portugalią oblać w ręce Filipa hiszpańskiego i tak ustalić i powiększyć swe wpływy na dworze madryckim.'' Wszystko to piękne ale skłanane. Co do małżeństwa Sebastjana Papież Pius V pragnął go widzieć zaślubionym z Ma'gorzatą de Valois siostrą Karola IX upatrując w tem małżeństwie zadatek przyżni i sojuszu dwóch domów królewskich i dwóch narodów. Jezuici w widokach Papieża, wpływu jaki mieli u młodego króla, użyli, ale wszystkie te rachuby i usiłowania udermiała polityka Katarzyny austriackiej matki Ma'gorzaty ¹⁾. W przeddzień kasaty zakonu, Pombal zgubiwszy na rusztowaniu prawie całą rodzinę markizów Tawora jako sprawców zamachu 3 września 1758 na życie Józefa, skazał czterech Jezuitów OO. Malagride, Henrikweza, Matosa, Morcira i Aleksandra, jako podżegaczy tego zamachu, na rozszarpanie żywcem. Wyrok tak był niesprawiedliwym, sąd tak szalbiernie prowadzonym, że sam Pombal nie miał sumienia podać wyrok egzekucyi.

Cięższe nierównie zarzuty królobójstwa obarczają Jezuitów francuskich. Nie idzie tam o wypadki, które mogą piętnować zbrodnią pojedynczych ludzi, ale o zasady, które całemu zakonowi nadają cechę rozbójniczej bandy. Jest to tylekroć podnoszona na niesławę zakonu kwestya *de tyrannicidio* tj. czy godzi się zamordować tyrana.

Kwestya ta długie lata leżała nietkniętą w foliach uczonych moralistów, którzy posługując się częstem *distingvo* mnożąc argumenta pro i contra popisali. Rozbierano ją poważnie na wszechnicach, Sorbony nie wyjąwszy, a rozwiązanie wypadało zwykle na niekorzyść tyrana. Nikt się jednak tem nie zrażał ²⁾. Skoro Henryk III Andegaweński,

¹⁾ Cretineau-Jolly t. II. roz. II.

²⁾ To co w tej mierze uczył św. Tomasz ojciec teologii scholastycznej (lib. II Sent. Dist. 44. 9. 2. art. 2) co gwałtownie i namiętnie wypowiedział Sorbona, pochwalając czyn Jakóba Klement, co głośni prawnicy paryscy jak Dumoulin w swych objaśnieniach ad Clementinas (lib. 3. tit. XV) Jan Baudin w dziele *de Republica* (lib. II. c. V.) śmiało i decydująco wypowiedzieli, to z większą ostrożnością i oględnością umieścili w swych dziełach: Emanuel Sa, Valentia, Delrio, Heissius, Tolet, Tunnez, Castro-Palao, Becan, Gretzer, Escobar,

ten sam, który zbiegł haniebnie z tronu polskiego, zginął od sztyletu fanatyka Jakóba Klement, kwestya *de tyrannicidio* nabyła rozgłosu i znaczenia. W rozdrażnieniu i wygórowanej niechęci do zamordowanego króla, rada szesnastu stojąca u steru rządów, nakazała głosić z mównic kościelnych, „że postępek Jakóbina (Dominikana Jakóba Klement) jest usprawiedliwienia godny, gdyż jest takim jak postępek Judyty tyle chwalonej w piśmie św.“

Głosiciele ligi katolickiej podjęli żarliwie obronę królobójcy. Kilku Jezuitów mianowicie: OO. Pigenat, Quinart, Quéret i Varad wbrew napomnieniom generała Akwawiwy¹⁾ posunąwszy się za daleko w *zelum religionis* dali się unieść gorączkowym szałom ligi, i nie zawsze wazyli słowa w tym przedmiocie drażliwym powiedziane. Ich filipiki z ambon kościelnych mierzyły jednak głównie w osobę Henryka IV Burbona, natenczas hugenota, którego bądź co bądź liga postanowiła nie przypuścić do tronu. Wytrwale mężstwo króla Nawary w obec nieporadności ligi osadziło go, na tronie niżczemniałego rodu Valois. Jezuita kardynał Tolet dokonał dzieła pojednania się króla z Kościołem i Papieżem.

Tymczasem teorye przez ligę ogłoszone dekreta sorbony odsądzające Burbona jako heretyka od korony po kościołach i placach rozlepiane, działały fatalnie na umysły, które nie zwykły rachować się z zasadami

Busenbaum. Nie winując teologów i prawników przedjezuickich, powstano na bezbożność tejże samej nauki tylko przez Jezuitów ogłoszonej. Escobar i Busenbaum dzięki nienawiści Paskala i Jansenistów nabyli europejskiego rozgłosu. Mariana swem dziełem *de rege et regis Institutione* dedykowanem Filipowi II, gdzie się znajduje w scholastyczne dystynkcyje uwinęte, ale jasne zdanie: w pewnych wypadkach dozwolone jest prywatnemu człowiekowi zamordować tyrana administracji t. j. który rządzi po tyrańsku“, wywołał tysiące pociśków na zakon. Nic nie pomogło, że pierwsze druki książki Mariany niszczone a w następnych ustęp ten poprawiono, że r. 1610 generał Akwawiwa pod postuszeństwem zakazał rozbieranie, pismem lub słowem kwestyi *de tyrannicidio*, Jezuitom została plama na zawsze, że uczą królobójstwa, są niebezpiecznymi dynastjom i monarchom.

¹⁾ Niechaj się nikt tem niegorszy. Hugenotów sekta groziła zalewem całej Francyi. Dla położenia tamy zawiązała się przeciw lidze hugenockiej liga katolicka, i liga królewska. Trzy te ligi toczyły z sobą wojnę znaną pod nazwą „wojny trzech Henryków“. Naczelnik ligi katolickiej Henryk książę Guizy pogodził się z królem Henrykiem Valois, i odtąd znikła z widowni liga królewska, zostają tylko liga katolicka pod Henrykiem Valois i hugenocka pod Henrykiem królem Nawarry. W lidze katolickiej znaleźli się wszyscy gorliwi katolicy uważając ją nie jako stronnictwo polityczne, ale jako obronę wiary, znaleźli się więc w niej i Jezuiti. Nic dziwnego, że ci Ojcowie rozrzuceni po obozach wojsk ligi, odosobnieni od braci zakonnych, wbrew duchowi zakonu dali się wciągnąć i w polityczne rachuby ligi, które bezdzietność i nikczemność Henryka Valois a potem gwałtowna śmierć jego wywołać musiały. Nieroztropność kilku Ojców, naganiona ostro przez Generała Akwawiwę, nie może czynić odpowiedzialnym całego zakonu. Przyzna to każdy bezstronny.

przez kogobądź wypowiedzianemi, ale wszystko za dobrą biorą monetę. Piotr Barrière żołnierz ligi i Jan Chastel ośmastoletni akademik spiknęli się na życie Henryka IV. Barriera ujęto w Melun nim jeszcze zamiar zdołał wykonać, w śledztwie na torturach przyznał się do zbrodniczych zamysłów, i został żywo rozstrzany. Za to Jan Chastel podjął wykonanie uprojektowanego zamachu. Wmieszawszy się w służbę dworską, gdy król na pokojach Gabryela d'Estrees witał się z przytomnymi gośćmi pchnął pugiuałem króla w gardło. Pchnięcie chybiło, gdyż król właśnie wtenczas oddawał ukłon panu de la Grange jednemu z oficerów swoich. Lekkie draśnięcie wargi górnej było jedynym skutkiem zamachu. Królobójcę badano na torturach dni dwa i ćwierutowano żywego.

Z śledztw które dzisiaj nazwalibyśmy barbarzyńskimi, wykazało się, że Barrier znalazł otuchę u jakiegoś Kapucyna i kilku duchownych. Jezuitów zaś w niczem a niczem, mimo nalegań sędziów nie winił. Chastel po ukończeniu szkół średnich na wszechnicy słuchał dwa lata filozofii wykładu O. Guéret'a Jezuita, a w chwili kiedy godził na króla wpisał się w listę słuchaczy prawa na Sorbonie. Z okoliczności tych, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew choćby najdowolniejszym pojęciom sprawiedliwości postanowili akademicy bądź co bądź skorzystać przywoławszy usłużność parlamentu na pomoc. Pamiętniki ligi, a za nimi pan de Thou Mezerai i Pasquier, opowiadają, że Barrière, jak to sam wyznał na torturze, zasiągnawszy pierw zdania kapucyna w Lyonie i jakiegoś duchownego i p. d'Aubry w Paryżu „poszedł następnie do O. Varade Jezuita. Mówił z nim bez świadków, a Varade napomniiał go do wytrwania w przedsięwzięciu. Spowiadał się u innego Jezuita, ale temu ani słowa nie powiedział o swym projekcie¹⁾. Spółnictwo Varada podniósł później Antoni Arnauld w swej obronie wszechnicy. Jezuiti tak energicznie niewinności Varada bronili, że według zapisków samejże akademii¹⁾, Arnauld swym słowem fałsz przyznać musiał. Niewinność Varada a w nim wszystkich Jezuitów, poświadczyl najwymowniej król sam mówiąc r. 1603 do p. de Harlay, i wysłanników akademii, co potem nieraz za życia króla w pismach i mowach parlamentarnych powtarzano: „Co do Barriera tak to jest fałszem że Jezuita słuchał go spowiedzi jak wy powiadacie, iż owszem jeden z Jezuitów przestrzegł mnie o jego przedsięwzięciu, a inny Jezuita powiedział mu, że będzie potępiony²⁾. Mimo to została Jezuitom łaska, iż spisowali na życie króla. Równie wymowne było świadectwo króla o niewinności Jezuitów w sprawie Chastel'a „tortury, mówi król, nie mogły na nim wydobyc żadnego oskarżenia przeciw Varadowi albo innemu Jezuitcie, a gdyby inaczej było, czemużbyście ich oszczędzali, bo ten, który

¹⁾ *Histoire de l'Université* t. IV. pag. 884.

²⁾ *Touchant Baeriere, tant s'en faut qu'un Jesuite l'ai confessé comme vous dites, que je fus averti par un Jésuite de son entreprise, et l'un autre lui dit qu'el seroit damné s'el osoit entreprendre. Hist. de Henri IV par Matthieu. (Cours d'histoire des Etats européens par Schoell. Tom XVII.)*

był karany na gardle (O. Quinard), był karany za, to co (jak mówią) w jego pismach się znalazło ¹⁾.

Proces jednak Chastela otwierał nierównie rozleglejsze pole domysłów, podejrzowań i zabiegów na zgubę zakonu. Chastel dwa całe lata słuchał wykładów filozoficznych Jezuitów, czy to nie dosyć, aby cały zakon uczynić współwinnym jego zbrodni? Zapewne taka sprawiedliwość w niczyjej głowie pomieścić się nie może, licowała jednak wybornie z zawziętą niechęcią akademii i parlamentu ku Jezuitom. Otóż na podstawie tego faktu poczyniono śledztwa we wszystkich domach Jeznickich. Przeszukano książki i rękopisy, opieczętowano pieczęcią parlamentu. Po długim przetrząsaniu znaleziono w bibliotece kolegium paryzkiego, rękopis O. Quinarda bibliotekarza domu, który jeżeli nie był pomysłem głowy jego, to przynajmniej kopią jego ręki. W piśmie tem datowanym r. 1589, zatem na lat 5 przed zamachem Chastela w chwili największego rozgorączkowania ligi, czytamy o Henryku Nawarskim: „czy przywołamy Nerona, Sardanapala Francyi, lisa z Bearnu? Korona francuzka powinna być przeniesiona do innej rodziny, nie do Burbonów... Bearnejczyk, nawet kiedy się nawróci do wiary katolickiej, nadto łagodne znajdzie obojęcie, kiedy mu włożą koronę mnieszą w jakim klasztorze zreformowanym, aby tam pokutę czynił... Jeżeli nie można go złożyć bez wojny, wojujmy; jeżeli nie można wojować, zabijmy go, każmy mu umrzeć ²⁾“.

Wielka zachodzi wątpliwość, czyli rękopism ten nie został podsunęty; przyjąwszy nawet za pewność, że słowa te wyszły z pod pióra O. Quinarda, który istotnie był żarliwym promotorem ligi, to nie zawierają one nic innego, jak to, co w latach 1589—1593 głosili inni zelanci ligi, co sama uczyla Sorbona, co zawyrokował nie jednokrotnie parlament, co zresztą ogłoszeniu amnestyi ogólnej przez króla straciło wszelką cechę winy. Ale naturalnie, postać rzeczy się zmieniła, Henryk IV, przedmiot żarliwości religijnej i nienawiści politycznej zarówno parlamentu Sorbony jak i Jezuitów, osiadł zwycięzko na tronie. Sorbona z rektorem Jakóbem d'Amboise była pierwsza, która obróciła się do wschodzącej gwiazdy, na klęczkach prosiła króla o zapomnienie wszystkiego, co minęło, składając poddańcze *homagium*. W ślad za nią poszła znaczna część parlamentu. Jezuiti nie chcieli uznać Henryka za króla, dopokąd ten wyznania katolickiej wiary nie uczyni, oświadczyli jednak, że nic przeciw królowi poczynać nie będą. Henryk, który umiał uszanować konsekwentność działania i stałość charakteru, nie brał tego Jezuitom za złe, owszem przyjął pomoc O. Posawina i pośrednictwo O. Toleta w tej trudnej pojednania się z Stolicą św. sprawie; ale Sorbona, ale parlament wyparłszy się dawnego sojuszu myśli i usi-

¹⁾ *Quant à Chastel, les tortmens ne lui peuvent arracher aucune accusation à l'encontre de Varade ou autre Jésuite quelconque, et si autrement estoit, pourquoi les auries-nous épargnés? car celui qui fut executé, le fut sur un autre subject, que l'on dict s'estre trouve dans ses escrits.* (Tamże).

²⁾ *Qu'on le fusse mourir* (Colect. judic. tom II. pag. 525 par D'Argentré).

lowań z Jezuitami, stanęli wrogo przeciw nimi na nich samych wszystkie błędy teorii i winy czynu, jakie popełniała liga, zwałając Wahanie się Jezuitów z złożeniem przysięgi niekatolickiemu jeszcze królowi nadawało pozór prawdy inkryminacyom oszczerczym. Jeszcze niedokończono roboty rewizyjnej, a już na żądanie Sorbony, „niech uchwalili rząd, żeby ta sekta została wydaloną nie tylko z wspomnianej wszechnicy, ale z całego królestwa“, parlament dał dekret skazujący Jezuitów na wygnanie, domy, biblioteki i majątki ich na konfiskatę i rozdrapanie, i to w terminie dwóch dni dla Paryża, a pięć dla całej Francji.

O. Quinard wraz z O. Qeéret i kilkoma innymi osadzono w więzieniu; śledzono i badano na torturach, w końcu wszystkich wolno puszczono, prócz O. Quinard, który swą winę „iż przyszedł w złą godzinę“ jak dowcipnie powiedział l'Estoile w swym *Journal de Henri IV.* (t. 2 str. 154) odkupić musiał śmiercią przez powieszenie. (Martwe zwłoki spalono na popiół).

Tego samego dnia, w którym zapadł wyrok, nastąpiło jego wykonanie. Quinard stojąc na rusztowaniu, świadczył głośno swoją niewinność, upominając lud do posłuszeństwa królowi i szanowania władzy. Potem modlił się głośno za króla a zwróciwszy się raz jeszcze do ludu prosił, aby nie dawał tak łatwo wiary fałszywym wieściom o Jezuitach, że oni nie byli mordercami królów, za jakich ich udać chciano, ani opiekunami tych ludzi, których nienawidzą, i że żaden Jezuita nie dokonał ani nie pochwalił zabójstwa któregokolwiek króla. Szczegóły te wyjęte z l'Estoil „*Journal de Henri IV.* (t. III. p. 109). Taka spowiedź na rusztowaniu powinna była zmitygować zawziętość akademii i parlamentu. Stało się przeciwnie. Tryumf odniesiony nad znienawidzonym zakonem postanowiono uwiecznić pomnikiem. Była to piramida marmurowa wzniesiona przed pałacem królewskim. Napisy na wszystkich czterech stronach piramidy, gromkimi słowy potępiają czyn Chastel'a i Jezuitów. „Chastel ojciec znienawidzony, napelniony żarliwą herezyą tej najzgubniejszej sekty, która od niedawna, okrywając najbezpieczniejsze czyny zastoną pobożności, uczyła publicznie zabijając królów, pomazańców bożych i żyjące obrazy majestatu jego, przedsięwzięła zamordować Henryka IV.“ Taki jest wstęp do dalszych eulogiów Chastel'a i Jezuitów.

Stał ów pomnik, przegierz dobrej sławy zakonu, lat dziewięć. W rok po przywróceniu zakonu we Francji, gdzie król formalną walkę stoczył musiał z nienawiścią ślepą Sorbony, piramida zwaloną została. Zakon dzięki prawości i rozsądkowi króla wrócił do dawnych siedzib i ustalili się na dobre we Francji. Na wielki żal panów akademików, Jezuita Katon zyskał zupełne zaufanie wielkiego króla, inni Ojcowie otrzymywali niewątpliwe dowody życzliwości królewskiej, jakim n. p. było oddanie rodzinnego zamku w La Fleche na kolegium i pensjonat 400 chłopców, starania podjęte u Stolicy św. o kanonizacyą Ignacego Lojoli i Franciszka Ksawera, nareszcie oznajmienie ostatniej woli, aby serce króla w kościele kolegium la Fleche złożone zostało.

Niestety, na spełnienie tej ostatniej woli nie długo czekać było

potrzeba. Dnia 14 maja 1610 r. Henryk IV zginął od sztyletu Ravallac'a. Skrytobójca wzięty na tortury wyznał, że przed półrokiem widział się raz jedyny z Jezuitą O. d'Aubiny, że jednak ani Jezuitcie, ani żadnemu z ludzi nie zwierzył się z myślą swoją. Nienawiść akademików zpotęgowana nakazaniem przez Henryka króla milczeniem, wybuchła tem gwałtowniej wśród zamieszek, jakie niespodziewany wypadek, małoletność następcy, rządy opiekuńcze, i budzące się stronnictw namiętności wywołały. Postanowiono korzystać z danych i dowieść, że Ravallac, czytając dzieło Mariany *de rege et regis institutione*, powziął myśl zamordowania króla. Usiłowano podczas tortur wmówić w Ravallac'a że O. d'Abigny zalecił mu czytanie tego dzieła, że istotnie zasady w tem dziele ogłoszone wpłynęły na jego czyn kary godny. Ale Ravallac wyznawał stale, że ani z tytułu nawet nie znał tego dzieła, ani nie słyszał nigdy nazwiska autora¹⁾. Co tedy było robić. Oto wzięto pod cenzurę wyż wspomniane dzieło Mariany i d. 8 czerw. 1610 r. jako bezbożne spalono przed kościołem Notre-Dame. Następnie, jak niegdys za czasów ligi, podniesiono czyn Ravallaca z ambon kościelnych, a w dość niedwuznaczny sposób wskazano jako na współników winy, na Jezuitów.

Głosy kościelnych mowców zmieszane z niezapomnianymi jeszcze krzykami akademików w sprawie Chastela działały fatalnie na rozstrojoną, jak w takich okolicznościach bywa, opinią publiczną. Równocześnie rozrzucono pamflet Anti-Koton szarpiący sarkastycznie sławę Ojca Koton i Jezuitów i to w najdelikatniejszej materii. Dowcip a do tego złośliwy, zawsze dobre przyjęcie znajduje w umysłach francuzkich. Jezuitci w obec śmieszności byli zawsze bezsilnymi, uczeni i poważni, gruntownemi wywodami usiłowali zbijać lekkomyślne ale dowcipnie rozpuszczone baśnie. O. Koton ogłosił *Response apologétique à l'Anti-Coton*. Nie wiele to pomogło. Wtenczas dwaj biskupi z d'Airs i z d'Angers i dwaj głośni kaznodzieje zakonu św. Dominika podjęli z ambon obronę Jezuitów, a biskup i kanclerz Henryk de Gondy w imieniu królowej regentki i królewskiej rady urzędownie zadał kłam pogłoskom rozsianym o Jezuitach i poświadczył ich niewinność. Krzyki o królobójcze zamachy i doktryny zakonu ucichły w Francyi, wznawiali je acz bezskutecznie za Ludwika XIV mistrzowie Sorbony, usiłowano wplątać ich w atentat Damiens'a na życie Ludwika XV za to w przededniu kasaty potężnego zakonu wszystkie te baśnie nabyły znaczenia historycznych dokumentów.

¹⁾ Nic w tem dziwnego. Książka Mariany zawierająca istotnie niebezpieczne dla tyranów nauki, lubo ofiarowana Filipowi II a przez tego synowi swemu Filipowi III zalecona, atoli na rozkaz jenerała zakonu została przedrukowaną z poprawką lub wypuszczeniem niebezpiecznych teoryj. Z pierwszego więc wydania książki Mariany, a w tem tylko wydaniu znajdują się one okrzyczane maksymy, mogło ledwo kilka egzemplarzy dostać się do Francyi i to tylko przez złośliwy spryt heretyków, którzy pierwsze druki tej książki chcieli rozkupować i po świecie całym rozrzucali.

Jeżeli zazdrość literacka katolickiego uniwersytetu potrafiła tyle, tak ostrych i głęboko raniących na zakon Jezusowy rzucić pocisków, któż się zadziwi widząc heretyków uciekających się do podobnego rodzaju kalumnii i gwałtów, aby niebezpieczny zakon osławić i podać w ohydę? Roku 1598, opowiada historyk Thou¹⁾ pochwycono w Leydzie człowieka nasadzonego na to, aby zabić hr. Maurycego, albo też może sam z siebie odważył się na popelnienie tej zbrodni. Tym człowiekiem godzącym na życie Maurycego Nassawskiego, godnego potomka onego wielkiego Wilhelma księcia Oranii, który położył kamień węgielny niepodległości Holandyi, był niejaki Piotr Panne, wyrobnik z Ypres. Miał on między czeladzią kolegium jezuickiego w Douai dalekiego krewnego swego. Otóż gdy po pijanemu pytał się o młodogo księcia Oranii, podejrzana figura jego zwróciła uwagę straży. Ujęty wyznał natychmiast, gdyż na dnie kielicha prawda, że chciał zabić księcia, zapłacony za to dobrze do dwóch bogatych Brukselczyków. Miasto onych dwu obywateli Brukselii nierównie dogodniej i korzystniej było postawić w stan obżalowania Jezuitów. Badanemu na torturach Panne, gdy żadnych przeciw Jezuitom nie czynił zeznań, zrobiono nadzieję darowania winy, wolności i życia skoro Jezuitów w tę sprawę wpląta. Znając wewnętrzne urządzenie kolegium w Douai, poczynił kłamliwe zeznania stósownie do woli sędziów. Ci dopiąwszy swego, skazali go na śmierć. Wtenczas Panne odwołał wszystko cokolwiek przeciw Jezuitom pod urokiem tak pięknych obietnic był zeznał. Heretykom jednak nie było więcej potrzeba. Zmyslili bajkę jezuickiego atentatu na życie Maurycego, ale tak niezręcznie, że kalwini francuzcy zmuszeni byli na nowo opracować ramotę holenderskich braci, aby jej nadać cechę prawdopodobności. Jezuita O. Koster osobnem pismem²⁾ zbil te oszczerstwa poważnie i dowodnie, ale jak zwykle bywa w opinii publicznej, fałsz otrzymał górę³⁾.

Tą razą skończyło się na pamfletach. W czterdzieści lat potem trzech Jezuitów OO. Boddens, Poetzmann i brat Nottin giną po najwyszukańszych męczarniach pod toporem katowskim. Śmierć ta pozostała wieczną plamą w dziejach holenderskich sądów. Rzecz się tak miała. Katolicy Utrechtu, którzy tylko pod tym warunkiem, miasto, Holenderczykom poddali roku 1639, że katolikom wolność wyznania, Jezuitom wolność pełnienia obowiązków swego powołania zapewnioną i dotrzymaną zostanie, widząc się przez heretyckich swych zwierzchników w obietnicy zawiedzionymi, postanowili gwałty sumieniem swym

¹⁾ *Hist. univ.* t. 13, p. 167.

²⁾ Pismo to na łaciński język przez O Schondock przetłómaczone nosi tytuł: „*Sica tragica comiti Mauritio Mauritis, ut ajunt Calvinistae, Leydae intentata*“ to jest sztylet tragiczny na hr. Maurycego przez Jezuitów jak mówią kalwiński, w Leydzie wymierzony.

³⁾ Tak ten wypadek opisał Cretineau-Jolly t. III. str. 20, 21. opierając się jak sam powiada na aktach sądowych. „*C'est aux informations juridiques aux actes des Magistrats d'Ypres, d'Auvers, de Mons, de Douai et de Bruxelles, que nous empruntons ces détails*“.

i wierze zadane pomścić na drodze spiskowania. Żołnierz holenderski udając się za katolika i w spisek wtajemniczony, zdradził wszystkich. Na liście spiskowców żadnego nie było Jezuita, ale holenderskie stany upatrując w Jezuitach popleczników hiszpańskiej propagandy, sądziły za rzecz stosowną, bądź co bądź skompromitować Jezuitów. Uczyniono tedy onemu żołdakowi najpiękniejsze obietnice, byle tylko Jezuitów jako spóiników spisku oskarżył. Na mocy w ten sposób otrzymanych zeznań ujęto trzech wyż wspomnianych Jezuitów. Gdy przyszło do konfrontacji, nasz świadek począł się mięszać, coś niewyraźnie przebąkiwać i jawnie sprzeciwiać sobie samemu. Sędziowie uwinęli się z nim rączo — kazali mu uciąć głowę za to, że nie umiał być kłamcą bezczelnym. Jezuitów badano dwadzieścia dwie godzin na torturach, które tylko szatan mógł wymyśleć ¹⁾, a potem, nie wydobywszy żadnego zeznania winy, skazano na ścięcie toporem. W czerwcu 1638 poniesiono, (gdyż skatowani iść ręk mogli) trzech Jezuitów na rusztowanie, jako winnych zbrodni majestatu holenderskich stanów.

Ażeby położyć koronę szalbierczemu dziełu, należało jeszcze uczynić Jezuitów mordercami papieży. Jezuici mieli przyspieszyć zgon Syksta V, Leona XI, Urbana VIII i otruć „świętego“ ²⁾ Ganganello. Co do pierwszych trzech papieży, zarzuty tak jawnym trącą fałszem, że nawet tacy pisarze jak autor broszury „Jezuici i ich stosunek do Rosyi“ przyzwalają wspaniałomyślnie na ich nieprawdziwość — dla braku, jak mówią, dowodów. Nie tak się rzecz ma z Klemensem XIV. „Jezuici otruli Ganganello“ stało się dogmatem historycznym w tej szkole historii, która ma wszystkie zalety prócz bezstronności.

Protestant Szoell w swym kursie historii państw europejskich (tom 44, str. 85) tak tę śmierć opowiada:

„Klemens XIV, którego świeżość, według spostrzeżeń wielu pisarzy, poczęła niknąć, odkąd podpisał „breve“ — umarł 22 września 1774 r., mając blisko 69 lat. Po otworzeniu jego ciała w obec wielkiej liczby ciekawych, doktorzy oświadczyli, że choroba, której uległ, pochodziła z szkorbutycznych i hemoroidalnych symptomów, na które cierpiał od lat dawnych, a które stały się śmiertelnymi przez niepo-

¹⁾ Do kraty żelaznej przywiązano ich w ten sposób, że ręce i nogi przykowane były łańcuchami opatrzonemi w kolce, które w ciało się wpały, a szyja przymocowana na ołowianym walcu nabitym kolecami w trzy rzędy. Podłożono rozżarzone węgie, a gdy ciało już dobrze było popieczzone, zapuszczano spiekliżnę octem, solą i prochem, piersi zaś palono siedmioma pochodniami, potem ucinano u rąk i u nóg palec po palcu. Katusze trwały 22 godzin. (Cretinsau-Jolly t. III, r. 6. str. 322.)

²⁾ Racyonalści dzisiejsi twierdzą, że kościół katolicki jednym tylko może pochwalić się świętym, a tym jest: Ganganelli Kalwini holenderscy i Janseniści utrechtscy wybili medal na jego pamiątkę, co miało zmartwić Papieża. Nasz Krzyżanowski nie może się dosyć nachwalić Klemensa XIV, nie nazywa go inaczej, tylko błogosławionym, „błogosławionej pamięci“, a wiek XVIII „wskrzeszonego oświecenia i chrześcijańskiego ducha“ (*sic*) nazwał „wiekiem Klemensa XIV“. (Dawna Polska str. 44.)

miarkowaną pracę i zwyczaj wywoływania gwałtownych potów, nawet wśród największych upalów. Tymczasem osoby, które składały tak zwaną partya hiszpańską, rozpuścili tuzin bajek, ażeby przekonać, że papież umarł otruty wodą Tofana, produktem wyobraźni, o której nieświadomi wiele mówili, a której nikt nigdy nie widział ani nie znalazł. Rozrzucano znaczną ilość pamfletów, które oskarżały Jezuitów jako sprawców zbrodni, której istnienie nie spoczywa na żadnym czynie w obec historii dopuszczalnym.“

W podobny sposób pisał Fryderyk II do d'Alemberta, gdy ten przedstawiał mu, aby przecie „tej strasznej milicyi, która ucząc przedtem zabijać królów, odważyła się ziele trucizny zanieść aż na sam Watykan ¹⁾“, nie wpuszczał do swych krajów. „Nic nie jest fałszywszego, pisze król, jak krzyki o zatruciu papieża. — Papież nie umarł w skutek przepowiedni dziewczynki, lecz w skutek wyschnięcia wszystkich soków.“ Owe przepowiednie „*d'une petite fille*“, o których wspomina filozof na tronie, tyczą się wiejskiej dziewczyny, Bernardyny Renzi, która przepowiadała codziennie śmierć papieża. Charakterystyczna, że ludzie, którzy z cyniczną ironią wyszydzały najświętsze prawdy wiary — wierzyli prorocत्वom wieśniaczki. Słusznie pytał Fryderyk w wspomnianym liście do d'Alemberta: „Jakaś dziewczyna przepowiedziała, że zatrują papieża tego a tego dnia — lecz czy wierzysz, że ta dziewczyna była natchnioną?“ Zapewne, że nikt nie uwierzył — ale każdy wmawiał w drugich, że wierzy, byle tylko Jezuitów sławę sponiewierać. Uwięziono OO. Coltraro i Venissa jako podejrzanych o zatrucie, a spowiednik papieżki, Ludwik Marya Marzoni, minister generalny zakonu franciszkańskiego, do którego także należał Ganganelli, miał zeznać, że konający Klemens powiedział mu, iż jest otrutym przez Jezuitów. — Marzoni na żądanie inkwizycji osobnem pismem pod przysięgą zeznał, że „Klemens XIV w żadnych okolicznościach i nigdy nie powiedział mu, że albo został otrutym albo czuł w sobie najmniejszy zaród trucizny... że on sam nigdy nikomu nie mówił, jakoby ten sam Klemens zwierzył mu się z tem.“ Nic nad to wymowniejszego, ale czyż zdrowy rozum nie zadaje kłamu? Jezuiti, ludzie przemysłni i obrotni, jak mówią ich nieprzyjaciele, dopiero *post factum* zorientowali się, że trzeba pozbyć się niebezpiecznego papieża — i otruli go po napisaniu i wykonaniu kasacyjnego breve! Czyż nierównie mądrzej było a mniej złośliwiej, otruć papieża przed 21 lipca 1773 roku? „Sklamała bezbożność sobie“ — jak mówi Pismo św., a na upór nie ma lekarstwa — fałsze i nieprawdopodobności są uderzające, ale że tu widzie o Jezuitów hańbę — biorą je świadomo za dobrą monetę.

¹⁾ *Oeuvres philosophiques d'Alembert. Correspondence t. 18.*

NOTATKI LITERACKIE.

Groby i pamiątki polskie w Rzymie.

Opisał

X. IGNACY POLKOWSKI.

(4to. 84 str. Drezno. J. I. Kraszewski. 1870.)

Skrzętny pracownik na niwie przeszłości naszej ksiądz kanonik Ignacy Polkowski, którego staranną pracę o kodeksach dyplomatycznych polskich mieliśmy zaszczyt umieścić w lamach pisma naszego, wydał zeszłego roku bardzo cenny przyczynek do historii pamiątek naszych, owoc gorliwych i sumiennych poszukiwań w odwiecznej stolicy katolicyzmu. Dwadzieścia i trzy świątyń rzymskich a prócz tego kapitolium zlustrował szan. autor, spisał z dyplomatyczną wiernością wszystkie do Polski się odnoszące nagrobki i wydał je w oryginałach i przekładach polskich w dziele: *Groby i pamiątki polskie w Rzymie*. Sumienny nasz pracownik atoli nieograniczył się na tem; nie dosyć mu było spisać z trudem i mozolem rozproszone po wiecznem mieście pamiątki, lecz o każdej osobie, której nagrobek podaje, starał się zebrać o ile możności ściśle i dokładne wiadomości, co nieraz połączone było z niemałemi znów trudnościami, zwłaszcza jeżeli nagrobek dotyczył osobistości zresztą mniej znanej. Tak więc dzieło szan. autora nie tylko podaje nam wiadomość o pamiątkach przeszłości naszej, lecz zarazem prostuje często szczegóły i daty dotyczące szlacheckich rodów naszych a niewłaściwie opisane w dziełach heraldycznych innych.

Najbogatszy plon zebrał szan. autor w kościele św. Stanisława, o którego przeszłości tak mówi: „Przy ulicy *Botteghe oscure*, w bliskości Kapitolium, znajduje się narodowy kościół polski zawierający największą liczbę pamiątek polskich, przywodzący na pamięć najradośniejsze i znowu najboleśniejsze wspomnienia! Skreślić dzieje tego kościoła, jego historią świetną niegdyś i wspaniałą, dziś smutną i bolesną, zadługoby nam było, zostawujemy to czasowi, a wspomnijmy to tylko, co najważniejsze. Było to zawsze we zwyczajach w Rzymie, że od niepamiętnych czasów każda narodowość miała kościół swój albo własnej fundacyi, albo ten lub ów dla tej lub owej nacyi, zwykle podarowany przez Papieża, z warunkiem wzmożenia onego, opatrzenia funduszami i odprawiania w nim służby Bożej. Za przykładem innych narodów idąc i biedna Polska nasza zdobyła się przecie na narodowy kościół. Dzieło to jest nieśmiertelnej pamięci Stanisława Hozyusza, biskupa warmińskiego, który po przybyciu do Rzymu mianowany od Grzegorza XIII kardynałem penitencyarzem w pierwszym zaraz roku pobytu swego wyprosił sobie od Papieża kościół, zwany Zbawiciela Pana, który uposażywszy w fundusze, z niemałą pomocą Anny Jagiellonki i Stefana Batorego, wystawił przy nim obszerny dom, *Hospicium* zwany,

dla pielgrzymów z Polski przybywających do Rzymu, a później nieco i kolegium dla księży Polaków, kształcących się w Rzymie. Kościół ten narodowy polski, na który z kraju i od panów polskich goszczących w Rzymie nie mało wpływało grosza, istniał aż do czasów smutnych wojen Napoleona. Po wejściu Francuzów do Rzymu zajęty przez wojsko, ogolony ze wszystkiego i obrócony na koszary, sprzedany w końcu został jako gmach jakiemuś żydowi z Liworno, od którego 1816 r. odkupiony został przez cesarza Aleksandra za sumę 10,000 skudów (za pieniądze złożone przez biskupów polskich) i tym sposobem przywrócony do pierwotnego uczczenia swego. Po rewolucyi 1831 r. z powodu, że akt kupna zrobiony był na imię cesarza Aleksandra, jako prywatnego nabywcy, przyszedł pod zawiadywanie ambasady rosyjskiej, wychodząc tym sposobem z rąk Polaków, mijając się z dawną fundacyą i instytucyą swoją i ściskając serce Polaka bólem, gdy wejście do tej niegdyś polskiej świątyni, na której dziś czarny dwugłowy orzeł rozpostarł skrzydła swoje“.

W tymto kościele zebrał szan. autor najbogatszy szereg tablic pamiątkowych i nagrobków, wszystkiego razem aż dwadzieścia i jedną. Tablice te dotyczą nie tylko osób, które w kościele tym spoczywają, lecz i takich, których groby znajdują się gdzie indziej, jako to dobrodziejki kościoła tego, Anny Jagiellonki, kardynała Stanisława Hozjusza, biskupa Andrzeja Stanisława Załuskiego, prymasa Michała Jerzego Poniatowskiego. Do odszukanych przez siebie nagrobków dodał szan. autor jeszcze trzy, które dziś już nie istnieją, a które czasu swego podał Starowolski w swych Monumentach, a mianowicie Hieronima Rozrażewskiego, biskupa kujawskiego, Mikołaja Zabłockiego i Maryi de Cordova Radziszewskiej.

Prócz tych nagrobków w samym kościele św. Stanisława znajduje się jeszcze szereg portretów w domu gościnnym, ufundowanym jednocześnie dla pielgrzymów Polaków. Dom ten egzystuje dotąd, ale dla Polaków zamknięty, niestety. Pomiędzy portretami temi, widzimy portret prymasa Ignacego Komorowskiego, Augusta III, Jana Sobieskiego, Maryi Kazimiry, Maryi Ludwiki, Stanisława Hozjusza, biust Massalskiego biskupa wileńskiego i inne. Prócz opisów i wiernych kopij nagrobków podał szan. autor na str. 12 i 13 dwa listy Anny Jagiellonki, nieznanne dotąd, które powinny znaleźć miejsce w Jagiellonkach p. Przeddzieckiego.

Co do zewnętrznej strony dzieła księdza Polkowskiego, to jest ono, pewno jedną z najpiękniejszych książek, jaką u nas w ostatnim czasie wydano. Przepyszny papier, piękny i okazały format, prześliczny druk, robią z książki tej prawdziwe cacko.

Kończąc tę króciutką naszą wzmiankę polecamy z całego serca szacowne dzieło księdza Polkowskiego nie tylko tym, którzyby zdala zapoznać się chcieli z pamiątkami naszemi, ale i tym, którzyby na miejscu w Rzymie obejrzeć chcieli kościoły przechowujące nasze pamiątki. Dla tych przedewszystkiem dzieło to będzie nieocenionym

przewodnikiem i zastąpi im najlepszego cyncerona; książdz Polkowski bowiem umiał tutaj połączyć sumienną naukę z celem rzeczywistie praktycznym.

X.

* * *

Rocznik historyczno-literacki 1869. Paryż 1870. Zwracamy uwagę czytelników Przeglądu na poważną publikacją Towarz. historyczno-literackiego w Paryżu Trzy ogłoszone dotąd roczniki 1867—1870 należą do tych niewielu dzieł, które są owocem długiej poważnej a sumiennej pracy, opartej na cennych dokumentach archiwów książąt Czartoryskich. Wymieniamy tylko znakomitsze rozprawy:

W tomie I. „Mikołaja Wolskiego obrona Stan. Augusta“ przeciw zarzutom czynionym mu w głośnem swego czasu dziele: „O powstaniu i upadku konstytucyi 3 maja“. Przeczytawszy obie te rozprawy wyrobić sobie dopiero można zdanie o królu Stanisławie i jego stronnictwie, o Kołłątaju i „twórcach“ konstytucyi majowej. Wolski był szambelanem króla i pisał z natchnienia króla, a nawet znajdują się *ad marginem* poprawki ręką królewską napisane.

W tymże tomie gruntowna praca p. Bronisława Zalewskiego: „Zniesienie poddaństwa na Litwie“. Autor, który był naocznym świadkiem wypadków, podaje historyczny przebieg usiłowań szlachty litewskiej w celu usamowolnienia włościan, usiłowań które rząd carski zawsze umiał sparaliżować i wyzyskać dla siebie. Komu są znane zabiegi galicyjskiej szlachty w tymże celu, i przeszkody stawiane im przez świętej pamięci Stadioną, ten w historycznym przebiegu sprawy włościańskiej na Litwie i w Galicyi, dostrzeże analogią i uderzające podobieństwo.

W tomie II znajdujemy drugi epizod „Aktów męczeńskich Unii“, pierwszy bowiem był umieszczony w tomie poprzednim. Cenny to przybytek do martyrologii polskiej. Nasi liberalni katolicy powinni by sobie uważnie przeczytać „akta“ aby się przekonali, że właśnie to, na co najbardziej godzi Moskwa, jest oderwanie Polaków od Rzymu i Stolicy św., tej Stolicy, którą oni, wrzekomo katolicy, a w gruncie sekciarze, lekceważą i poniewierają. W wiekowej niewoli narodu pod berłem carów, zawsze było to prawdą, że wiara katolicka, nie ta liberalna co przedrzeźnia Papieżom, ale ta stara, dawna, polska wiara, posłuszna Stolicy św., życzliwa papieżom, że ta mówię wiara jest jedyną zaporą i tamą brutalnego systemu wynaradawiania.

Inna praca, zasługująca na uwagę nie tylko Polaków, ale całej Europy, mianowicie Anglii, nosi napis: „Szerzenie się Rosyi w Azji środkowej“, pióra Bronisława Zalewskiego, który będąc wygnańcem i służąc w pułkach orenburskich, mógł i umiał zbadać ducha Rosyi w tych stronach i wydobyć na jaw nieznanne Europie tajemnice moskiewskich robót i wysień na wschodzie. Car Mikołaj powiedział: Rosya na wschód nie ma granic. Jakoż od roku 1855—1868 zajęła Rosya na wschodzie takie przestrzenie, jak Francya z Hiszpanią razem. Przeraza to Anglików, interpelowali nieraz swych ministrów, ale ci zawsze zaspokajające umieli dać odpowiedzi. Za niewiele lat obok „kwestyi wschodniej“ pojawi się i „kwestya graniczna“ jako kłopotliwy przyczynek do tamtej.

Nie takiej doniosłości, ale pełne nauki, pożytku, wdzięku i namaszczenia są „listy zaatlantyckie“, w tym i następnym tomie umieszczone, które pisał do swych braci ks. Kajsiewicz, odbywając wizytę domów zgromadzenia.

Tom III. mniejszej objętości od poprzedzających, zawiera treśćową rozprawę bezimiennego autora. „O przyczynach słabości rządu polskiego w ostatnich dwóch wiekach XVII i XVIII,“ pod dewizą: „Ale o rządzie szkoda u nas mówić“ (Bielski). Rozprawa ta udarowana pierwszą nagrodą konkursową Towarzystwa, powinna być we wszystkich krajowych dziennikach w odcinku umieszczoną i osobnym przedrukiem rozpowszechnioną, za dozwoleniem rozumie się autora lub Towarzystwa. Treściwością, jędrnością i jasnością zaleca się ta praca czytelnikowi, i nie wiesz co masz więcej podziwiać, czy trafność i nowość poglądu, czy zwięzłość wystąpienia. Dzisiaj, kiedy Galicya cieszy się samorządem a dawnego nierządu jest widownią i słowa Bielskiego do siebie zastosować może, bardzo byłoby na czasie rozpowszechnienie tych pojęć i zasad i dowodów.

Pojawiła się nowa publikacja Pamiętników Niemcewicza od roku 1806 – 1820, t. I. Poznań, księgarnia Żupańskiego.

Z tejże samej księgarni wyszedł tom II. historii Teodora Morawskiego, Jagiellonowie.

Są to publikacje poważne, owoc długiego doświadczenia i długiej pracy. Damy o nich obszerniejsze później sprawozdanie. Niestety! iluż znajdują czytelników, zwłaszcza między młodzieżą? Dzisiejsze młode pokolenie nie umie czytać dzieł poważnych, nudzi się i dla tego nawet nie pyta o nie, za to różnego rodzaju obrzydliwie niemoralne powieści jak n. p. Biblioteka Romansów Gubrynowicza i Schmidta, różne powieści, są rozchwytywane, właściciele czytelnicy starczyć ich nie mogą.

Nadmienić w końcu wypada, że tłumaczenie trylogii hr. Tołstoja już skończone. Ostatnia część trylogii „Borys Gudunow Carem“ już weszła w handel księgarski. Hrabia Tołstoj należy do szkoły szekspirowskiej, wierny przedewszystkiem historii i głęboki w studiowaniu charakterów. Lecz właśnie dla tego potrzebna jest gruntowna znajomość historii czasów i ludzi, do których się trylogia odnosi, aby jej wartość mózdz zrozumieć i ocenić. I znowu mimowolnie nasuwa się pytanie, ilu znajdziemy między młodzieżą, którzyby umieli czytać piękne dzieło Tołstoja?

JUBILEUSZ OJCA ŚWIĘTEGO

w Ziemiach Polskich.

(Dokończenie).

Z Budzynia, 25 czerwca. Dnia 18 czerwca jak wszędzie tak i w miasteczku naszym obchodziliśmy uroczystość 25-letniej rocznicy panowania Piusa IX jak najwspanialej. Nigdy jeszcze nie widziałem, ażeby obywatele nasi w takiej zgodzie i miłości jakąkolwiek uroczystość tutaj obchodzili, jak właśnie jubileusz Ojca św. Na wieży kościoła powiewała wielka chorągiew, pod którą jaśniał transparent z herbami papieżstwa, a przy bokach napis: „Vivat Papa

et Rex Pius IX^a, poniżej następował drugi transparent z wizerunkiem Ojca świętego naturalnej wielkości, umyślnie na tę uroczystość przez naszego księdza proboszcza sprowadzony. Podczas mszy św., na której śpiewano wiersze stróśowne, przystąpiło przeszło 300 ludzi do komunii świętej. Z zachodem słońca wyszły nieszpory, poczem zaraz udaliśmy się do ogrodu ks. proboszcza, gdzie na każdym niemal drzewie jaśniały prześliczne lampiony. Kościół cały stał w płomieniach od tysiąca prawie świateł, które od wierzchu aż do spodu wieży gorzały. Przy wchodzie na probostwo, wystawioną była wielka brama tryumfalna z transparentem, na którym był napis: „*Pax vobis. Pokój wam*“. Lecz nie tylko probostwo, ale i wszystkie domy katolickie choć najbiedniejsze, były wieczorem rzęsiście oświetlone. Przy zupełnie spokojnem powietrzu przechadzaliśmy się po ścieżkach ogrodu, śpiewając razem z dziećmi szkolnemi wiersze przez miejscowego proboszcza ułożone. Ludu zgromadziło się mnóstwo. Okrzyki: „Niech żyje Papież Pius IX!“ grzmiały z tysiąca piersi, a każde hurra witano z armatek i z dwudziestu fuzji obsługiwanych przez landwerzystów, którzy niedawno z wojny niemiecko-francuzkiej wrócili.

Znin, d. 18. czerwca. I w naszym mieście odbyła się iluminacja na cześć 25-letniego panowania Piusa IX z całą okazałością i przepychem. Za staraniem gorliwych kszęży tutejszych, kościół był pięknie, z gustem ustrojony i oświetlony, a lud pobożny skwapliwie się do niego gromadził, zanosząc modły do Boga o pomyślność dla Ojca św. Nabożeństwo wieczorne skończyło się późno w noc.

Gniewkowo, d. 22 czerwca. W niedzielę d. 18 czerwca odbyło się na cześć jubileuszu 25-letniego panowania Piusa IX w kościele tutejszym solenne nabożeństwo, na które się zúčznła liczba wiernych obojej płci zebrała. W czasie nabożeństwa po kazaniu, zbierał ks. proboszcz miejscowy składkę na Ojca świętego. Wieczorem domy katolickie były oświetlone. Pomieędzy innymi odznaczały się transparentami i lampionami domy pp. Łukaszewskich, Pawłowskiego i apteka.

Tuchola, d. 22 czerwca. I nasza Tuchola jak zwykle, nie pozostała w tyle z okazaniem przywiązania i czci ku Ojcu św., którego każdy prawdziwy Polak-katolik uwielbiać powinien. W dniu 16 b. m. obchodziliśmy uroczystość 25-letni jubileusz papieżki Piusa IX. Kościół nasz za staraniem ks. wikarego Pobłockiego (zastępującego obecnie naszego proboszcza i delegata biskupiego, który dla pokrzepienia zdrowia pracą i wiekiem podeszłym zwątlonego, odjechał do wód w Cieplicach) prześlicznie od obywateli i obywatelek Tucholi i Koślinki dekorowany, rzęsiście oświeconym został. Dwadzieścia dwa słupów ustrojonych zielenią z modrzewia i jałowcu, zakończających się w świeczniki w formie krzyża stroiło, prócz mnóstwa wieńców i festonów z borówia uwitych, średnią nawę kościoła. Przed presbiterjum wisiał ogromny transparent, ozdobiony wieńcem i pięknym obrazem Ojca św. (sprowadzonym umyślnie na ten cel z Wrocławia) i napisem różnobarwnym w języku ojczystym, na dwóch również jak i poprzednie ustrojonych słupach. Dwie chorągwie, jedna biała z czerwonym, druga niebieska z białym krzyżem, zdobiły także wnętrze kościoła. Prócz tego, powiewała ogromna biała chorągiew, z błękitnym herbem papieża i napisem „niech żyje Pius IX“ z wieży kościelnej. Natłok ludzi podczas nabożeństwa był ogromny i nie ustał nawet do późnej nocy, gdyż po odprawionych wieczorem po dziewiątej godzinie nieszporach, jeszcze innowiercy tak prote-

stani jak i żydzi, ciekawością wiedzeni, tłumem do kościoła przybywali. ażeby oglądać tak gustowne ustrojenie i oświetlenie onego, które w kilku dniach za przewodnictwem niektórych obywateli Tucholi i Koślinki, przez sta rąk gorliwych parafianek i parafian wykonane zostały. Panowie Polewski, Krygier, Pupel i Osowicki z Tucholi byli twórcami transparentu, a pp. Królikowski i Deja z Koślinki najwięcej się przyczynili do reszty dekoracji, prócz gorliwych pań i panienek tak z Tucholi jak i Koślinki, które z uznania godną wytrwałością pracowały. Cześć i dzięki im za spełniony śliczny przykład i pracę, którą znawcy na kilka set talarów cenili, która atoli za pomocą rąk wielu, bardzo mało kosztowała. (*Gazeta Toruńska*).

Pelplin 17 czerwca. Nasz Pelplin, jak się było można spodziewać, zdobył się na godny obchód jubileuszu Ojca św., tej jedynej w rodzaju swoim uroczystości. Nikt nie myślał, żeby miejsce małe, oprócz księży, zamieszkałe tylko przez ubogą ludność mogło szacie. Bez przesady twierdzić można, że dnia przeszłego Pelplin sam siebie przewyższył. W innych okolicznościach mogą iluminacje itp. objawy radości, być nakazane interesem albo obawą; tutaj zaś, mamy przed sobą niewymuszony, zupełnie wolny objaw uczuć ludu szczerze przywiązanego do kościoła i jego Głowy. To też piątkowy obchód jubileuszu Ojca św. nosi na sobie piętno szczeroci i swobody, jakiego daremnie szukać w innych manifestacyach, i bezwątpienia niezatarte zostawił ślady w pamięci każdego, który miał szczęście być mu przytomnym. — Dzień 16 czerwca zajaśniał nad Pelplinem w najwspanialszej, jaką sobie wystawić można, szacie błękitnej.

O 10 rano, lubo to był dzień roboczy, napełniła się obszerna nasza i świątecznie przystrojona katedra, wiernym ludem. Sędziwy ksiądz nasz Biskup sam pontyfikował. Uderzyło tylko, że żaden z naszych dygnitarzy, jak się powszechnie spodziewano, nie wystąpił z kazaniem, w któreby wymownymi słowami znaczenie dnia tego wiekopomnego uwydatnił.

Uroczystość ludowa miała dopiero na wieczór nastąpić. Ledwo pierwsze cienie spuściły się na ziemię, aliści jakby na znak dany wszystkie okna od pałacu biskupiego, stojącego na wyżynie, od zakładów naukowych i kuryi kantonickich aż do ostatniej chaty ubogiego wyrobnika rześmitem zajaśniały światłem, które w przeźroczystych nurtach bystro płynącej Wierzycy tysiężnymi łamało się tęczęmi i malowniczo rozrzuconym gmachom i ogrodom pelplińskim cudny nadawało koloryt.

W tem, na placu przed imponującą budową Collegium Marianum odezwały się uroczyste tony hymnu na cześć Ojca św., który z wielką precezą odśpiewali uczniowie tegoż zakładu wspólnie z klerykami. To zwabiło natychmiast rozliczne tłumy ludu, z dalszych po części stron przybyte (wspomnę tylko, że Tezew i Gniów dostarczył swój kontyngens, i w Starogrodzie zabrakło furmanek, tak że wielu ciekawych pieszo przybyło). Następnie do uformowanego tutaj szeregu uczniów, niosących lampiony opatrzone w malowane insygnia papieżkie, i kleryków, przylączyło się grono obywateli pelplińskich z pochodniami, a wszyscy wyruszyli z kapelą na czele, składającą się, nawiasem mówiąc, z uczniów Collegium Marianum i grającą rażny osobno na tę uroczystość ułożony marsz, przez oba mosty Wierzycy, naokoło domu św. Józefa, do pałacu biskupiego. Piękny rzeczywiście widok przedstawiał długi ten rząd migoczących światełek, snujących się już pod górę, podczas gdy pochodnie z wy-

soko buchającym płomieniem dopiero przez rzekę przechodziły, i nad tem wszystkim jako baldachin unosiły się gęste kłęby dymu.

Ks. Biskup, otoczony kapitułą, stał już na balkonie. W krótkich ale treściwych słowach przemówił miejscowy administrator parafii imieniem gminy. Pomiedzy innymi napomknął, że podczas gdy najbliższe dzieci goryczą zaprawiają sędziwy wiek Ojca św., w dalekiej północy tysiące serc polskiego ludu gorąco biją dla niego. Najprzew. ks. Biskup przyjął z wzruszeniem piękny ten objaw miłości dla najwyższego Pasterza i w przydłuższej mowie przeszedł jego cierpienia, wyrażając nadzieję, że jak Pius VII, niegdyś uwięziony, w tryumfie wrócił do Rzymu, podczas gdy Napoleon jako wygnaniec umarł na samotnej wyspie Helenie, i Pius IX jeszcze widzieć może oczyma swemi karę ciemniejszych swoich. A w każdym razie nie przestanie Ojciec św. być słońcem, około którego wszystko się obraca.

W tymże momencie zabłyśły sztuczne ognie i oblały nie tylko pałac, ale i część parku biskupiego z ślicznymi jego klombami bżów i kwiatów i odwiecznymi lipami, jasnym kolorem zielonym, symbolem nadziei, przyciem naturalnie, jako i przy kilkakrotnie powtarzającym się takim zjawisku, jeden okrzyk podziwu wydobył się z piersi pocziwych naszych wieśniaków. Po odśpiewaniu hymnu i wzniesieniu ognistego wiwatu na cześć Ojca św. i ks. Biskupa cały pochód wrócił tąż drogą przed seminaryum duchowne, którego okna ozdobione były bardzo gustownie zrobionymi transparentami, przedstawiającymi w sążnistych literach: *Vivat Pius IX*, w środku zaś herb papieżki i z każdej strony krzyż. Przed figurą Matki Boskiej odśpiewano potem *Omni die* i rzucono pochodnie na stos; przed Collegium Marianum nareszcie zanucono: *Kto się w opiekę*. Poważne tony tej starej pieśni z tysiąca ust zgromadzonego ludu wzbily się pod niebiosa jako wyraz ufności w pomoc Tego, który poniża pysznych a wywyższa maluczkich.

Illuminacyi samej szczegółowo opisywać niepodobna, ale milczeniem pominać nie mogę Collegium Marianum, które we wszystkich swoich tak licznych oknach oświetlone było i w 30 transparentach zawierało cały opis życia Ojca św. w ważniejszych jego momentach. W pałacu biskupim rzęsiście oświetlonym uważaliśmy piękny obraz Papieża udzielającego błogosławieństwo w wielkości naturalnej, podobnież i na kilku innych miejscach. Szczytem zaś całej illuminacyi bezsprzecznie było oświetlenie okien północnego frontu naszej katedry. Kto kiedykolwiek był w Pelplinie i widział wspaniały ten gmach, pamiątkę po naszym Mestwinie, ze smukłą jego i śmiało pod obłoki unoszącą się budową, ten wystawić sobie może, jak czarujący zdala przedstawiała widok z światłem, jakie blisko 6000 lamp rzucało w noc letnią i cichą.

(*Tygodnik Katolicki*).

Warszawa 16 czerwca. Uroczystość dzisiejsza to osobliwa i jedyna uroczystość w życiu naszym.

Bardzośmy ją tu pięknie i serdecznie, mimo ogromnej trudności położenia, obchodzili.

Kościół postrojono w kwiaty i bogato oświetcono. Wszędzie były msze śpiewane z muzyką doskonałą.

Mnóstwo osób przystępowało do Komunii świętej i to z niesłychanem przejęciem.

Świątecznie było w sercach naszych i tylko żałowaliśmy, żeśmy nie na zewnątrz pokazać nie mogli.

Bogu chwała po tysiąc razy za zachowanie dni ukochanego papieża naszego. Nie widzieliśmy go i nie zobaczymy, a miłujemy go z całej duszy. Tak Pan Bóg przeznaczył; ale niech żyje, jak najdłuższe lata i niech zbiera coraz obfitszy skarb zasług przed Bogiem. *(Tygodnik Katolicki)*

Na tem kończy nasze sprawozdanie o obchodzie papieżki u nas jubileuszu — pominąć już musimy wiadomości ze Szlązka, gdzie najuroczyściej może obchodzono ten dzień — pominąć i niektóre miyca w Galicyi, gdyż musi liby-my rzecz prz ciągnąć w ki-ku jeszcze numerach, na czem ucierpieły musiało wiele innych na czasie będących kwestyj, same nawet wiadomości bieżące ze śwata katolickiego musielibyśmy w szczupłych nader podawać ramach. Pol-ka w obchozie jubileuszowym zatwierdziła że jest katolicką i taką być, ona tylko może!

Korespondencye „Przeglądu“.

Berlin 7 sierpnia 1871 r.

„Pierwszy raz dzisiaj w Waszem piśmie o gościnność się upraszam. Przyjechawszy niedawno do Berlina, chciałbym się wrażeniami niektórymi z wami podzielić. Chociaż to miasto gniazdem dziś sterników polityki europejskiej, nie będę Wam wiele o polityce pisał, jesteście bowiem w porze roku, którą *saurer Curken Zeit*, tutejsi gazeciarze nazywają. Większa część dzienników berlińskich zapewnia z tego powodu swoje szpalty artykułami treści religijnej. wymierzonymi przeciw ultramontanom. Walka w ostatnich dniach doszła do niezwyklej zawziętości, otrzymała też do tego przynależne uznanie samego rządu w ostatnich jego krokach a bezpośrednio i ministra oświecenia.

Liczą na Berlin 40,000 katolików. Za organa służą im gazety *Germania* i *Märkisches Kirchenblatt*. Głosy ich naturalne nikną jak kropla w tym oceanie ustawicznych napaści i namiętnych wycieczek ze strony przeciwników.

Znałem Berlin przed wojną; myślałem, że po ostatnich tryumfach nabierze więcej koloru wielkiego miasta. Tymczasem zachował on swój dawny charakter. Wojska zawsze po ulicach wije się pełno. Daleko to jednak już od tych czasów, kiedy jako o jednym z ciekawszych Berlina zabytków rozprawiano tutaj o nosie feldmarszałka Wrangla, który prawie jedyny z wyższych wojskowych miał wiedzieć z doświadczenia, jak proch pachnie; dzisiaj żołnierza niewyorderowanego na lekarstwo nie znajdziesz.

Mają rzeczywiście ci Prusacy coś zakonnego w sobie, jak Krasieński zauważył. Porównanie to naturalnie odnosi się jedynie do zewnętrznej strony życia zakonnego, do regularnego wykonywania powinności, które ono nakłada, bo brak religii w społeczeństwie berlińskiem straszny I od czasu, jak Fryderyk Wielki na wykonywaniu obowiązków stanu, religię swoją ograniczył, wielu, jego wyznanie sobie przyswoiło. To też pracowitość tutejszego społeczeństwa buduje, ale naturalnie, usposobienie takie upadek obyczajów pociągając za sobą

musiało. Sam nawet Heyne o tem powiedział, że *die Vernunft* nie rachuje się z moralnością; i chociaż na trofeach zbudowanych na przyjęcie wojsk zwyciężkich niejednokroć z epitetem *in Sitten sein* Berlińczycy się spotykali, z pewnością mała garstka wybranych ściśle do siebie to brała.

Większa część teatrów najczynniejszą i tutaj współpracowniczką w dziele zepsucia, a publiczność nadzwyczaj lichą strawą zadowolniać się zwykła. Intendenci nie starają się o podniesienie sceny, ale zewnętrzna tylko affektacją zabawiają widzów. Dawna to a znana słabość Berlińczyków. Przed wieloma jeszcze laty, powiedział o nich dowcipny jeden pisarz, że w Ottellu prawdziwego jedynie murzyna ścierpieć zdołają, a jeżeli dyrekcyja dla obsadzenia roli głupiej jakiej figury, również i o prawdziwego głupca się postara, wówczas publiczność nie doznawszy illuzyi, niezadowolona wyjdzie z przedstawienia. Oryginalne utwory dramatyczne rzadko się tutaj pojawiają. Kontyngens bowiem poetów i w Niemczech obecnie nadzwyczaj drobny, a chociaż wielkie chwile wielkich ludzi produkować mają, na niwie poezyi nie mogą się Niemcy spodziewanych geniuszów doczekać. Mówiono mi, że wśród Aizatzyków ma się znajdować poeta z prawdziwym talentem, a więc obecnie anektowany.

Ostatnia wojna, jak wiadomo, w całych Niemczech żywe obudziła sympatyje dla dynastyi Hohenzollernów. Prasa więc berlińska prawie zawsze zgadza się z rządem i jedynie przeciwko ministrowi oświecenia v. Mühler, który dla niej względem katolików zanadto wydaje się być umiarkowanym, (a do tego jest ortodoksem protestanckim), dosiada opozycyjnego rumaka. Jedyna gazeta skrajnej opozycyi „*Zukunft*“ podczas wojny wychodzić przestała. Socjaliści nie mają tu żadnego organu. Społeczeństwo tutejsze wiele pod tym względem zdrowsze, jak n. p. w Saksonii, która najwięcej socjalizmem jest zagrożoną. Od pewnego czasu gazety tutejsze dużo się zajmują sprawami galicyjskimi. Koncesye ostatnie jednogłośnie jęły prawie wywołały z głębi duszy tutejszych pp. redaktorów. Spolszczenie uniwersytetu lwowskiego chciano przedstawić jako krzywdę wyrządzoną narodowości niemieckiej, jako zamach na cywilizację. Już to, jeżeli w *Theilung der Orde* Szyllera poeta się spóźnia i po dokonaniu podziału przychodzi, to Kulturträgerzy niemieccy z pewnością nie wybierali się opieszale, kiedy dotychczas uważają cały świat za wyłącznie dla ich misyi przeznaczony. Wyobrażenie, które większa część wykształconych ludzi i uczonych tutejszych żywi, znajdziecie wyrażone w 123 zeszytach *Sammlung gemeinverständlicher wissenschaftlicher Vorträge*, w rozprawie pod tytułem *Die Veränderungen der Karte von Europa*, która mi przypadkiem wpadła w ręce.

Autor, Adolf Wagner, profesor ekonomii politycznej przy tutejszym uniwersytecie winę wszelkich dawniejszych niepowodzeń Niemiec przypisuje domowi Austryackiemu. Dowodzi że polityka aneksyjna Prus zabiwną jest dla całego świata i za taką kiedyś uznaną zostanie, bo mapę reguluje w sposób odpowiedni. Nawet za Belgią mu tęskno, bo ona przecież przed kongresem wiedeńskim do Niemiec należała. A dziwiąc się zubożeniu tych swoich kompatriotów woła: *Ja, uns fehlt ein polnisches Gedächtniss!* Naturalnie, że i kwestyi polskiej autor w broszurze swej nie pominął. Oddaje on hołd patryotom polskim, że nie zapominają swej ojczyzny a dowód tego widzi w pomniku Rapperswylskim. Ale na cóż to wszystko się przyda. Brak naturalnych granic, geograficzne położenie i inne powody, istnienie Polski czynią prawie niemożliwym? Jednak ten sam autor o kilka stron dalej powiada, że i Niemcy granic naturalnych równie nie

mają, ale to, co naszą egzystencją uniemożliwia, Niemcom nic nie szkodzi. I to wszystko w jednej książce ma ze sobą jakoś harmonizować.

Znaczniejsi historycy niemieccy potępili rozbiór Polski, jako akt gwałtu oprócz Raumera. Większa ich jednak część szuka wyższych historyzoficznych powodów dla usprawiedliwienia częściowego tego aktu. Jedni mówią, że z ustaniem niebezpieczeństwa tureckiego, Polska nie miała racji bytu — drudzy, że od wprowadzenia elekcyi przestała być subjektem politycznym, czynnym, i zamieniła się w obiekt patologiczny! i t. d.

Lubują sobie Niemcy w takich abstrakcyjnych, teoretycznych formułkach, które w końcu filozoficzną dają absolucyę wszelkim gwałtom i krzywdom innym wyrządzonym. Taka to już sprawiedliwość ludzka! Z.

Sprawa papieska W ZGROMADZENIU FRANCUZKIEM.

Dzień 21 lipca, którego w Zgromadzeniu narodowym toczyły się rozprawy nad postawionym wnioskiem zaprotestowania przeciwko grabieży Rzymu, pozostanie pamiętnym na zawsze w historyi. Francya, na którą najwięcej liczyli katolicy, opuściła tą razą papieża. Prawda, że niewypowiedziano nic stanowczego w tym względzie, atoli z mów starego deisty p. Thiers'a, któż tego domyślić się nie może — Roztropności swojej poleca on katolikom sprawę tę powierzyć. Znamy od dawna roztropność p. Thiers'a. Księżniczka de Barry — kwestya szkół za Ludwika Filipa — korporacye religijne — niestworzone fałsze przeciw Kościołowi umieszczone w jego historyi, jakich dotąd nie odwołał wcale, wiele nam o jego roztropności mówią. Polacy, znamy ją tём dokładniej jeszcze. — Skradziona przez niego chwała naszych rycerzy i to przelewających krew swoją za brudną Francuzów sprawę, także coś o tej roztropności powiedzieć może. Otóż od znarowionego rewolucyjnymi zasadami starego mieszczucha jak go nazwał kiedyś l'Univers, wielkich rzerzy spodziewać się żadną miarą dzisiaj nie możemy. Szcześnie, że nie ministrowie ani rządy kierują przyszłością wypadków, ale Bóg! — a Ten Kościoła Swego nie opuści nigdy! Zresztą od Francyi niczego nie żądano więcej nad zwykłe potępienie gwałtu. Inaczej się stało. Śnać Bóg oswobodzić zamierza swój Kościół w sposób zadziwiający. Kiedy zaś chwila ta przyjdzie, nie wiemy. Wówczas, kiedy się jej najmniej będą spodziewali.

„Na tem pięciogodzinnem hałaśliwym posiedzeniu mówi l'Univers dwie przedewszystkiem osobistości wysunęły się naprzód. Jedna z nich, to umiarkowana, filozoficzna Francya w postaci p. Thiersa, który tą razą więcej jak kiedy indziej zdradzał podobieństwo do p. de la Bedollière; — zimnego, umiarkowanego Redollière, szefa władzy wykonawczej. Druga osobistość wynurzała się z tłumu, blada, pełna majestatycznej powagi, bez aureoli sławy. Mimo to poznano ją natychmiast. To Francya wierząca. Gdy otworzył usta, aby przemówić, powstała burza zmierzająca do przeszkodzenia mówcy. Bano się go usłyszeć, aby nie uledez potędze przekonywających słów jego. Przechowujemy imię

tego męża, który zarazem jest bardzo wykształconym i uczonym. Jest nim p. Belcastel deputowany Haute-Garonne.“

„Od pierwszej godziny ruch się rozpoczął na zewnątrz. Na ulicy des Réservoirs powozy tłumnie się zbierały. Dziedziniec du Maroc, korytarze i Izba zapełniały się tak, iż o drugiej godzinie wszystkie ławy były zajęte. Zauważano Jego Excel. Mgr. Chigi i wszystkich posłów ze swym pocztem, biskupa z Montaban, biskupa misyjonarza, jałmużnika pałacu Wersalskiego, wielu duchownych, p. Guizot, p. Schneider, wielu dawniejszych senatorów i deputowanych, panią Thiers i pannę Dosne. O godzinie 2½ deputowani byli w komplecie.

„Pan Thiers jeszcze się nie był ukazał. Posiedzenie rozpoczęło się ważną dyskusją nad żelugą wybrzeżną. Rozprawa ta ku niecierpliwości wszystkich zbyt długo się przeciągała, a która jeszcze więcej została podnieconą przez przybycie biskupa Dupanloup. Wreszcie przystąpiono do sprawozdania z petycyi. Pierwszy sprawozdawca pan Pajot, wyjąwszy bardzo zrzęcznie wyrażenia z kilku petycyi biskupich streścił je w taki sposób, iż łatwo odgadnąć było można, jaki postawi wniosek. Zalecił odesłać petycyę ministrowi spraw zagranicznych

„Drugi sprawozdawca p. Tarterou, jeszcze z większą energią na to nastawał i wśród oklasków Zgromadzenia Narodowego po swej stanowczej, gorącej i przekonującej mowie, w której tak nieszczerścią papieżstwa jak obowiązek Francyi szlachetnie zostały przedstawione, wniósł również o odesłanie petycyi do ministra spraw zagranicznych.

„Wzruszenie opanowało obecnych a podwoiło się jeszcze, gdy biskup Dupanloup powstał z miejsca jakoby chciał wejść na mównicę. Lecz przy stopniach estrady zwrócił się, podszedł ku p. Thiers i po krótkiej rozmowie — nie on, lecz prezes rady wstępuje na trybunę, a Mgr. Dupanloup wraca na swoje miejsce. Gdyby ciekawość zaprawiona niepokojem, który napełniał wszystkie serca, nie była w onczas nieprzystępną dla wszelkich żartów, ubawionoby się na widok jak p. Thiers zatrzymał się na środku stopni, następnie jak szepnąwszy coś do woźnego, gorączkowo czegoś oczekiwał. Czy papierów jakich wyglądał? czy może depeczy urzędowej? czy swej teki? Po kilku minutach ukazuje się szklanka wina, konieczny przydatek do wszystkich rozpraw p. Thiers. Tylko, na to czekał — poczem — zaczął mówić.

„Nie będziemy tu streszczać jego mowy, lecz niepodobna nie zauważyć, że pod względem wymowy p. Thiers nigdy nie był bardziej bezbarwny, a nigdy gorzej natchniony. Ważył swe słowa, przeciągał głos, niejasno myśl swą oddawał, z obawy, ażeby się nie unióś i nie powtórzył kilku swych dawniejszych dobrych wyrażen, tak na czasie przypominanych mu przez sprawozdawców. Ztąd wielkie rozczarowanie i zawód! Ciągłe mówił, iż nie można nic zrobić, a chciał ażeby rozumiano, iż pragnąłby coś uczynić. Ale w ten sposób nie przekonał ani nie poruszył nikogo, a przyjęcie jakiego doznała mowa jego było tego rodzaju, że doprawdy niepomahał się zadziwiliśmy, czytając w sprawozdaniu urzędowem o licznych jakichś oklaskach, których wcale nie słyszeliśmy.

Po nim ukazał się na mównicy biskup Dupanloup. Z początku mówił głosem nieco twardym i przytłumionym, lecz powoli wpadał w zapal coraz bardziej, i gdy mówił o potrzebie religii dla społeczeństwa, wtedy wystąpił z całą

siłą i prawdziwą wymową przeciwko oszczerstwom miotanym powszechnie na duchowieństwo przy ostatnich wyborach. Przypomniał szlachetne tradycje Francji z takim przyciskiem, iż wywołał po kilka razy powtarzane oklaski. W sprawie zaś samej władzy świeckiej napiętnował dosadnie zamachy piemontskie, lecz zanadto uniesiony mową p. Thiers uważał za zbyt cenne dodać jeszcze cośkolwiek do tego, co naczelnik władzy prowizorycznej wypowiedział o zajęciu stanowiska przez Francją w tej kwestyi.

Ale czyż w tym względzie już zawiele powiedziano? Zdaje się, że p. Thiers tak sądził, gdyż z pewną przykrością wraca na mównicę, ażeby przypomnieć myśl i granicę poprzednich słów swoich. Większość Izby odgadywała dobrze doniosłość tego tłumaczenia się p. Thiers. Chociaż p. Thiers zostawił jej zupełną wolność głosowania, pojmowała doskonale, że to wotum zaufania dawało katolikom słabe tylko gwarancje. Poruszenie wzrastało w miarę jak rosło niezadowolnienie katolików żądających pewnego zadosyćuczynienia. Sam p. Bellacastel sądził, że katolicy mają obowiązek dodania czegoś. Wchodząc na mównicę, lecz ukazanie się jego wywołuje istną burzę. Prawica cała woła nań, by zeszedł.

Nawet p. Grévy, który w tej dyskusji okazał dla lewicy widoczną stronniczość, starał go się przekonać, iż nie powinien mówić. P. Bellacastel opiera się swym przyjaciółom namawiającym go do opuszczenia trybuny, prezydentowi i izbie, daje znak, aby się wrzawa uspokoiła, bo ma obowiązek sumienny coś powiedzieć, i że to powie. Błady, zdecydowany, oparty w stronę krzesła prezesa, oczekuje nieruchomie, póki się hałas nie uciszy. Wszakże po 10 minutach tego piekielnego zgiełku p. de Bellacastel zwyciężony wreszcie, ustępuje. Jakkolwiek nie dokazał swego, mimo to nie można zaprzeczyć, że dał dowody prawdziwego męstwa i żałujemy tylko, że jego koledzy ani go nie zrozumieli, ani nie poparli.

Sprawa ta zdawała się być ukończona i chodziło już tylko o określenie w jaki sposób wypadało głosować. W tej chwili p. Barthe wniósł poprawkę sformułowaną w tych wyrazach: *Zgromadzenie Narodowe ufając patriotyzmowi i roztropności naczelnika władzy wykonawczej...* Natychmiast spostrzeżono wielkie poruszenie na lewicy; wszczynają się gwałtowne rozmowy, które dają znać, że zaszło rozdzielenie między pewnymi radykałami a p. Gambettą, który zebrany około niego przyjaciółom zdawał się coś tłumaczyć.

W tem na nowo zjawia się p. Thiers. Nie bez trudności uspokojono się. Naczelnik władzy oświadcza, iż po swem wyjaśnieniu nie chce żadnemu deputowanemu zabronić, ażeby głosował wedle swego instynktu (p. Thiers kładzie przycisk na ten wyraz), wedle własnego sumienia i t. d., że przecież wołałby, ażeby głosowano za przejściem do porządku dziennego wedle wniosku p. Barthe, a to z powodu wyrazu roztropność, który się tam znajduje, a na który p. Thiers znowu przycisk kładzie. Nie było tego potrzeba. Prawica doskonale pojmowała, że to przejście do porządku dziennego co innego znaczyło, aniżeli wnioski sprawozdań; lecz wspomnieliśmy, że zgodzono się na to, aby być jako tako zadowolonym. Na nieszczęście dla p. Thiers, p. Gambetta wpada na mównicę. W kilku słowach wypowiedzianych z pewną sztuką i udaniem umiarkowaniem, oświadcza, że w obec objaśnień p. Thiers tak on sam jak i jego przyjaciele również przyłączają się do poprawki p. Barthe.

P. Thiers się mięsza. Wszyscy przeczuwają, iż obawia się stracić owoce wszystkich swych usiłowań. Prawica z swej strony zaczyna ten niepokój jego krytykować znaczącymi ruchami — krzyk, protestacje, interpellacje zwiększają się, powtarzają, i sprawiają zgiełk, poruszenia i trwogę nie do opisania. Cała Izba poruszona, któż wie, co z tej rozkołysanej burzy wyniknie? W tej chwili p. Keller żąda głosu. Ze wszystkich stron go zaczepiają i żądają, aby się powstrzymał. P. Grévy brutalnie mu oświadcza, iż ma mówić tylko o tem, na czem ta kwestya ostatecznie stanęła. P. Keller powiedział tylko kilka słów; lecz te kilka słów zwiększają burzę, pocieszają sumienie i rozdzierają wszelką zasłonę.

„Przyłączenie się p. Gambetty, woła on, nadaje porządkowi dziennemu charakter, na który Zgromadzenie nie może przystać. Co do mnie, ja go odrzucam.“ Oklaski zagrzmiwały na prawicy, a na lewicy krzyk gwałtowny. P. Keller szorstko napcmniany przez p. Grévy, który dobrze czuje srogi cios wymierzony przeciwko strategii p. Thiers, opuszcza mównicę, na którą wpada w gniewie p. Thiers. Oskarża p. Kellera trzykrotnie jakoby był głosem niezgody. P. Keller chce na to odpowiedzieć. Krzyk i Prezydent nie pozwalają mu mówić. Wrzawa powstała na nowo i to z większą gwałtownością. W trybunach wszyscy powstali, żywe dyskusye się wszczęły. Biskup Dupanloup ukazuje się powtórnie na mównicę, powitany oklaskami prawicy i centrum; oświadcza, iż razem z p. Thiers przyjmuje porządek dzienny p. Barthe, i że nie cofa swego przyłączenia się dla tego że p. Gambetta do niego przystaje, pod warunkiem, że p. Gambetta pojmuje ten porządek dzienny w myśl p. Thiers... Oklaski powtarzają się a lewica wydadje krzyk gwałtowny. P. Thiers widząc jak jego zręczność go opuszcza, błednieje, i chwytą się za głowę. P. Gambetta wraca na mównicę. „Nie, mówi on, porządek dzienny nie ma tego znaczenia, jakie mu nadaje biskup Orleański, albowiem sprawozdawcy wnosili o odesłanie petycyi do ministra spraw zagranicznych, a porządek dzienny je odrzuca.“ Burza powstaje gwałtowniejsza niż przed tem i trwa przeszło kwadrans. P. Thiers raz jeszcze wchodzi na mównicę, podobny do skazańca. „Po deklaracyach p. Gambetty porządek dzienny, mówi, rzeczywiście zmienia swe znaczenie; cofam tedy moje przystanie, a przyjmuję odesłanie w warunkach w mowie mojej podanych.“ Tu następują oklaski głośniejsze i żywsze; lewica pobita, wydaje przeciągłe ryki, które zniewalają p. Grévy, iż wzywa do porządku, lecz p. Gambetta nie chcąc uchodzić za pobitego wraca na mównicę. Z trudnością otrzymuje głos, lecz za pierwszemi słowami, gdzie mówi o swej szczerości, żywe reklamacye z prawicy wprawiają go w taką furę, iż proponuje podczas sesyi pojedynek nazajutrz dla tych wszystkich, którzy mu będą chcieli przerywać. Na takie *dictum acerbum*, zrzucają go z mównicy. Tu znowu p. Langlois skrada się niby kot do mównicy, do której się przypiął gwałtownie, grożąc iż jej nie opuści. P. Grévy widzi się zmuszonym zawołać żandarma, aby zrzucił i wypędził p. Langlois.

Wreszcie po nowych gwałtownych scenach, których nie można nawet opisać, poddają wniosek p. Barthe, który się stał wnioskiem p. Gambetty, pod głosowanie, i odrzucają go 403 głosami przeciw 262.

Odesłanie petycyi do ministra spraw zagranicznych uchwalono następnie 447 głosami przeciw 87.

Przy wychodzeniu nie było słyhać innych wyrazów, jak tylko: „co za posiedzenie!“

My kończąc to nasze sprawozdanie jakie z *l'Univers'a*¹⁾ podajemy, równie ze smutkiem musimy zawołać: „Co za posiedzenie!“ Rząd najstarszej córki Kościoła nie umiał zdobyć się na potępienie rozboju i świętokradztwa. — Miły Boże, co za posiedzenie! W co się obróciła owa Francya, która za uciśnionymi zawsze przemawiała!

DZIENNIK „KRAJ“.

Po raz to już drugi rozprawia sobie ten dziennik o przedrukowanych z pisma naszego artykułach, bez wymienienia źródła z kąd one pochodzą — chociaż na broszurach najwyraźniej stoi „przedruk z Przeglądu Lwowskiego“. Nie tylko to z nami tak sobie postępuje, najpoważniejsze nawet pisma nie inaczej zwykł on traktować. Znając więc to usposobienie najznakomitszych panów redaktorów najznakomitszego dziennika, nie podnosiliśmy tego nawet w onczas, kiedy jęto rozwodził w ciągu kilku z kolei numerów *Kraju* prześliczne *lojhu dojdý* o „Moderantyzmie“ trele! Za reklamą bowiem wcale się nie ubiegamy, możemy bez niej istnieć i rozwijać się swobodnie, ona dla nędzoty tylko i fałszu koniecznie potrzebną i dla tego muszą się o nią starać chociażby w tak nawet piękny sposób, o jakim *Gazeta Narodowa* wspomina — np. przypiskiem maleńkim, aby ostatnią porzucono, a zaprenumerowano *Kraj*, gdyż Wielki Dezorganizator naszego społeczeństwa założył w nim stałą fabrykację wiadomości z Rzymu. Dzisiaj atoli, z powodu feljetonu, w którym rozprawia znowu *Kraj* o gruntownej rozprawie, również w piśmie naszym umieszczonej i przez nas w przedruku wydanej p. t. Liberalizm wiedeński na wszechnicy krakowskiej — bez uczynienia wzmianki z kąd ona pochodzi, podnosimy głos, — jedynie dla tego, aby zanotować to postępowanie *Kraju* jako czyn świadczący o zapoznawaniu zupełnem przez ten dziennik nie tylko zwykłego dziennikarskiego obowiązku, ale najprostszej uczciwości nawet....

Co się zaś tyczy samej recenzji danej przez *Kraj* na ostatnią w piśmie naszym zamieszczoną rozprawę, to odpowiadać nie możemy. Sama głęboka cześć jaką mamy dla autora „Liberalizmu wiedeńskiego na wszechnicy krakowskiej“ wstrzymuje nas już od tego, ubliżylibyśmy i Jemu i sobie samym, chcąc walczyć z ignorancją i złośliwością zakowską, jaka na Niego tutaj się rzuciła. Lichota jakaś, ocyfrowana literami J. R. — zdzierzgała nędzną nizinę z inwektyw — okrasila ulicznikom właściwym dowcipem i podaje ją za recenzją! Biedacy — nie dosięgną oni nigdy takiego męza jak czcigodny ksiądz Z. G. — On zawsze pozostanie *à la hauteur de leur mépris*..... — Jedyna to dzięki Bogu broń, na jaką kiedy-

¹⁾ Według przekładu *Tygodn. Katolickiego*.

kolwiek na polu piśmiennictwa zdobyć się potrafią wrogi Kościoła. *A Kraj* wiadomo przecież, że na to tylko powstał, aby był ich murzynem. — Musi więc przerabiać w różny sposób po zaułkach żydowskich przez siebie pobierane błoto, i bryzgać niem na wszystko i wszystkich, boć tylko w takim pięknem i estetycznem zatrudnieniu swoim, znajduje właśnie całą siłę swojego rozumu, swoją naukę i patriotyzm! — *Sit tibi!!*

K r o n i k a.

Radość i smutek rewolucjonistów włoskich — P. Petrucelli della Gattina — Przyjazd gości do Lwowa i obiadowa uczta — Gazeta narodowa i co zrobi ka. prymas Ledóchowski. — Dziennik Polski. — Rozmaitości.

Kiedy telegram rozniósł wiadomość o mowie p. *Thiersa* w sprawie papieżkiej — rewolucyoniści na wszystkich swoich placówkach tryumfalne zanucili pieśni — Słowa p. *Thiersa* zaliczające Italią do rzędu wielkich mocarstw rozdęły niesłychanie próżność Włochów. Sami poczęli już w nie wierzyć i uznawać się za potęgę — Atoli szczegółowe sprawozdanie o tem wersalskiem posiedzeniu znacznie rozwiało ich illuzye — spuścili rychło z tonu i w słowach *Thiersa* upatrują, nadzwyczaj tylko zgrabnie ostrożne, nieprzyjazne dla siebie zamiary francuzkiego rządu — Wnet więc cała ich prasa wybuchła gniewem i odgraża się francuzom. Pierwsi główacze rewolucyonistów już oświadczają się bez ogródek, że sytuacja Italii zagrożona „na gwałt przeto uzbrajać nam się należy“ Manifestacye antyfrancuzkie, na ulicy i w dzienikarstwie występują na nowo. — *Brutta gente*, powiedział kiedyś wielki poeta o Florentczykach, ostatnich zastąpili dzisiaj całych Włoch rewolucyoniści — *Brutta gente*. Za francuzką krew życzą Francyi losu Polski — i to nie sam już motłoch rewolucyjny, nie gawiedź uliczna, ale ludzie umiarkowani, traktujący sprawy z zimną nadzwyczaj rozumą. Włochy mają zadanie zająć w świecie miejsce po zgukiej katolicyzmem Francyi — i oczyszczenia świata całego z zasad chrześcijańskich, które ona siała i których była opiekunką; co zresztą łatwo przyjdzie, gdy za pomocą zjednoczonej Germanii tak samo podzielią Francję jak w wieku przeszłym podzielono Polskę. Słowa te wypowiada p. *Petrucelli della Gattina* głośny dzisiaj publicysta Włoski w dzienniku najlepiej redagowanym i najbardziej umiarkowanym, w *Gazetta d'Italia*. Otóż taki dziennik w ten sposób odzywa się o Francyi i Polsce ¹⁾ i bez żadnego następnie sromu wypowiada, że zadaniem jedności włoskiej po ściągnięciu głowy papieżstwa w świeckiem jego panowaniu należy stanąć do walki z drugą częścią cerbera papieżstwa

¹⁾ Nie od rzeczy przypomnieć będzie naszym czytelnikom, że ten sam dziennik wielkiej używał powagi w naszym rewolucyjno-liberalnem dziennikarstwie — pisuje do niego wielki patriota *povero martire* brzęczącej monety, Brzuchomówca ów ex-szambelan papieżki, a i *Gazeta Narodowa* jeżeli nas pamięć nie myli, zastawiała się tym dziennikiem w wycieczkach swoich przeciw prymasowi X. Ledóchowskiemu i w onych sianych przez nią potwarzach na O. O. Zmartwychwstańców — *Ab uno disce omnes*.

z władzą duchowną — Missyą właśnie jest Włoch (mówi *Gazetta d'Italia*) zniszczywszy papieżstwo doczesne, znieść zupełnie papieżstwo duchowne". Przytaczamy dosłownie te słowa, aby stronnicy jedności włoskiej jacy się pomiędzy wierzącymi katolikami w naszym kraju znajdują, spostrzegli się, gdzie to twórcy jedności włoskiej zajęć zamierzają — czem ukoronować chcą dzieło zjednoczonej Italii. Wczoraj oświadczyli się niby za poszanowaniem papieżstwa, dziś otwarcie wyznają, że sam Kościół w podstawie swojej zaśmiercić muszą. Nic też dziwnego, że liberalnym katolikom włoskim oczy się otwierają — widzą dla kogo pracowali — nad jaką postawiono ich przepaścią — *l'Univers* podał nam był rozmowę jednego posła włoskiego, który po powrocie swoim z Rzymu do Florencyi — rzekł między innymi: „przekonałem się, że niezadługo i dynastia i papież albo śmierć poniosą albo ucieczką życie swoje ratować będą musieli — w każdym razie papieżstwo powróci ale dynastia stracona“ -- kto wie, czy wkrótce nie sprawdzą się jego słowa. Nie daj Panie Boże — powtórzymy za korespondentem rzymskim Unii, abyśmy ujrzeć mieli Watykan w płomieniach!

Na powitanie gości, przybyłych w odwiedzinę do naszego miasta, posyła się jak z rogu obfitości mnóstwo różnego rodzaju patetycznych broszur, poezyi — wykrzykników i znaków zapytań. Co to jest? — co to znaczy? — co dowodzi? i co z tego będzie?

My tą razą nie zapuścimy się wcale w ocenianie tego zjazdu, ani tych uroczystości, zostawiamy całą tę rzecz do przyszłego zeszytu. Wspomnimy o tem tylko tutaj, co z tego powodu napisano. I tak: Jenerał Orląt wydał broszurę: „*Zjazd polski we Lwowie*“. Wielcy ludzie bez broszur obejść się nie mogą. Ważność tej broszury jest nie mała: arystokracja obłożona w niej kłatwą, demokraci lwowscy mają zbawić Polskę, pan Groman będzie dyktatorem!

Nie żarty — sama broszura zostanie pomnikiem jego mądrości!.....

Czytaliśmy także i wiersze, o ognistem uczuciu i mickiewiczowskim nastroju świadczące¹⁾.

.....
I Moskal i Niemiec (mówi poeta) to strachy na lachy!
.....

Trza woli — nie chętki — gdyż czyn nie wyrośnie
Z marzenia... (oj *prawda!*) Więc chciejmy! — Złączeni w ogniwa,
Możemy przekonać się wkrótce radośnie:

Że jak ta wyprawa, — tak inna możliwa! (trza!)
.....
.....

Kto śmieje się z tego, o temu brak wiary!...

¹⁾ „Powitanie Wielkopolan, Szlązaków i Krakowian w gościnę do Lwowa przybyłych“ — napisał Władysław Chotomski.

On bracia przez wrogów na duchu zatruty.....(!)

Wierzajcie! zbutwiały już wrogów sztandary....

Wnet pierzchną w przestrachu z armiami w reduty! (trza!)

W końcu wierszopiewca ten sam, co w *Postępie* krakowskim rzucał gromy na królów i szlachty korony (ale mimo to *Comes Sancti Imperii Romani*) najpiękniej się odzywa:

Że nie staniem narodem na Unii kobiercu(!?)

Póki Polski nie wskrzesim i w głowie (trza) i w sercu(!)

Po broszurach odezwały się gazety. — *Narodowa* artykułem *Mnohaja Lita!* — Pan Kostecki w feljetonie napisał wierszyk w języku ruskim, pełen rzewności, prostoty, bez żadnych aluzyj. Ale inne za to w *Gazecie Narodowej à propos* przyjazdu gegania — brrm..... I tak: ostatnie np. powstanie nie małe przyniosło nam korzyści, bo usunęło największą przeszkodę..... (która) odtąd nie będzie.... wiązać nóg narodowi, itd.... Jest tu mowa o uwłaszczeniu ludu. Ale czyż i to nawet w obec wytępienia katolicyzmu, prześladowania naszej narodowości, można nazwać korzyścią? Nie. — Glorifikacja ostatniego powstania, to czysta ironia krwawiącemu się rzucona narodowi. Po takiej absolicy, danej ostatniemu powstaniu, *Comes sancti Imperii Romani*, może dorzucić od siebie słów kilka: „że jak ta wyprawa — tak inna możliwa“.....

Na kobiercu Unii, jak nazywa wierszopiewca *Comes*, t. j. na kopcu, z głębokim namaszczeniem wygłosił mowę znany Nasz Delegat do Rady państwa. Było i więcej mowców. Podobno i o trzech rogach Polonus, z wieżyczki przy kopcu *ad hoc* wystawionej, wyciął także do zgromadzonego narodu oracyę, a na zakończenie, z lewej i prawej ręki wypalił z pistoletu!

Niech Stańczycy wiedzą kim jesteście, jeżeli im się zachce skroić nam znów kurtę!

Tyle o mowach, broszurach, gazetach; wypada nam jeszcze podnieść ucztę wyprawioną w ogrodzie Strzeleckim. Objad i widowiska teatralne w wigilią uroczystego święta Matki Boskiej, w dzień postu w całym katolickim świecie, a u nas w Polsce surowo przestrzegane, to coś nietylko antykatolickiego ale nawet najzupełniej antynarodowego.

Łatwo nam pojąć, że ci, którzy dali inicjatywę „wycieczkom“ i na ich czele stanęli, nie wiele zwykli się troszczyć o święta i o posty Kościoła; oni mają swój katolicyzm, kompromisowy, elastyczny, jak skóra u węża boa rozciągający się, bardzo dla nich wygodny. — Ale nas dziwi, że żadne krom *Unii* publiczne we Lwowie pismo, żaden głos nie zwrócił uwagi pp. redaktorów programu na tak rażącą, że najmniej powiemy, niestósowność, nawet pod względem czysto politycznym.

Wszakże myśl przewodnicząca wycieczkom nie inna pono jak zatwierdzenie jedności narodowej, zatarcie prowincjonalizmów. odnowienie, przypomnienie sobie niejako tej starej, dawnej Polski. Są to wycieczki gościnne Polaków do Polaków. — Wybornie! Otoż w duchu dawnej tradycji polskiej leży cześć i szacunek dla Matki Bożej! Wszak nie przestaliśmy jeszcze i dzisiaj być katolikami, nie wypieramy się politycznie na wet nigdy katolicyzmu; a

a więc godzi się i w demonstracjach politycznych być konsekwentnymi. A jak pogodzić można jawne, publiczne, uświęcone udziałem kilku tysięcy osób, pogwałcenie przepisów wiary naszej z onym patriotyzmem i katolicyzmem? Gdzie? kiedy? w jakich dziejach lub kronice czytamy, że Polacy podczas nazywano maszkaradami? Owszem słowa starego Winnickiego: „a drelich, a olej, a wigilia hultaju! jakem Sodalis, za Maryą kijem biją”; czy nie są wyrazem głębokiej religijnej czci dla świąt i wigilji Maryi? czy nie są wyrazem polskiego prawdziwie życia? Redaktorowie programu powinni byli uczcić i uszanować tę tradycję narodową — jak skoro zjazd ma być dowodem że mimo rozwiartowania naszej Ojczyzny tętni w nas wszystkich dawne życie Polskie.

Nie godziło się nigdy w dzień postu i wigilię wielkiego święta Tej, Którą tutaj właśnie we Lwowie zgromadzone z królem nasze rycerstwo, za królową Polski uznało; w dzień, kiedy tysiące polskiego ludu, w poście i uczynkach pokutnych, spiewem i pielgrzymką do miejsc cudownych, przygotowuje się do uroczystości święta Maryi — nie godziło się nigdy wyprawiać biesiady gościnniej. Takie przeniewierzenie się tradycji narodowej, i do tego w obec reprezentantów wiejskiego ludu z katolickiego Szląska, których pragniemy przyciągnąć do siebie; takie publiczne, gorszące lekceważenie przepisów wiary katolickiej, którą wyznajemy, i za którą cierpiało i cierpi tyle tysięcy naszych braci pod rządem moskiewskim, w obec narodowej polityki nieloicznej, w obec Boga i religii występne. Nie ujdzie ono bezkarnie, ale wcześniej, czy później zwróci się przeciw sprawcom złego.

— A co? nie mówiłem że *Gazeta Narodowa* nie jest tak złą za jaką ją uważać zwykli, zagabnął nas jeden z naszych znajomych — ot patrzaj co pisze w 250 numerze w feljetonie ze świata. Zaleca nam przecież odwrócić się raz już od Francuzów, od których najgorsze przynosiliśmy zazwyczaj rzeczy, bo *demagogię* — prawda, że i o ultramontanism potyka, ale tylko dla tego, że nie rozumie się na nim — bądź co bądź *demagogię* najwyraźniej potępia. Ha! tak wypadaloby wnosić z tych słów starego ze świata liberała, ale cóż kiedy inne jego artykuły wprost przeciwnych rzeczy dowodzą. — Pamiętaj o tem dobrze, że skorupka czem raz za młodu nasiąknie tem zawsze cuchnącą ona zwykłą *Gazeta Narodowa* musi się czasem perfumować — *il lui en faut* — blanszuje się wybornie a maskuje znakomicie, w onczas szczególnie kiedy otwarte jej rozmachanie się, planom szaskodzićby mogło. *Il lui en faut*. Głupi tylko fanatyk zawczasu odkrywa swoje wrogie Kościołowi dążności. Ale redaktor *Gaz. Nar.* dzierżący w swoich rękach — ho! ho! wie on dobrze kiedy wypada rozpuścić swoje pióro, toć też jak rozpuści, składa zawsze dowody o dosadności jego słów świadczące. Zbrodniarz, zdrajca, sługa tego lub owego obiboka a nawet i wroga narodu spadają w onczas jak deszcz kamienny na głowę przeciwnika. Pierwej jeanak redaktor *Gazety Narodowej* wietrzy, wietrząc, strzyże uszami i ci-cho się sprawa. Czasem, czasem, zdarzy mu się, że się i wygada z tem właśnie z czem rad się ukrywa, do czego szczególniejszą ma predykcją np. ze swoją więcej niż sympatją do nibilistów moskiewskich. Rozgadany wpada w ekstazę

radości i ciesząc się z ich propagandy woła: „nabiera się otuchy, iż ten pierwszy krok czerwonych zapaleńców nie będzie ostatnim iż postęp (za pośrednictwem nihilizmu) i światło (przez nihilistów roznoszone) wszędzie wyrzuci muszą swe potężne skutki“ — (*Gazeta Narodowa* Nr. 238 z 31 lipca korespondencja z Warszawy) — A co? ile tutaj serca dla nihilizmu. Internationale czy inaczej przemawia? — Czy dziennik rzymski *Diavolo color di rosa* inaczej się odzywa? — A co? czy ta szczerza spowiedź *Gazety Narodowej* nie daje do myślenia? — Kto tak przemawia, nie może równocześnie potępiać demagogię. — Maska, maska! *il lui en faut*. Wie *Gazeta* co robi. — W kraju katolickim aby bić skutecznie w sam rdzeń katolicyzmu, potrzeba koniecznie grać rolę zelantki szczególnie jak się ma w tym samym numerze rzucić kałem na najdzielniejszego w kraju naszym obrońcę Kościoła!

— „Co zrobi sługa Prusaków“ w obec uwięzienia biskupa z Paderbornu?) — pyta *Gazeta Narodowa* (Nr. 250 rubryka „Niemcy“). — Ks. prymas Ledóchowski — co zrobi? — to co zwykle robią gorliwi biskupi. — Nieprzeniewierzy się nigdy Kościołowi, ale w obronie Jego praw i dogmatów, które tyle razy bluźnierczo walczyła *Gazeta Narodowa*, stanie murem i nieustąpi nawet w obec kajdan i kaźni pruskiej, tak samo, jak nieustąpił ani ustąpi przed wrzaskami i obelgami rozmiłowanych w nihilizmie moskiewskim dzienników, takich, jak *Gazeta Narodowa* i godni jej kamraci z Krakowa i Poznania! — *A capitò?* — *dunque*.

* * *

Nową próbkę pamfletarskiego stylu dostarczył nam znowu nr. 222 *Dzien. Polsk.* Trudno w dwóch małych kolumnach wylać więcej żółci i jadu, okazać więcej lizusostwa i pamfletarskiego talentu — i to wszystko, ażeby podnieść rzetelną zasługę J. E. X. Arcybiskupa lwowskiego, której nikt nie przeczył.

Każden zdrowy umysł, przeczytawszy artykuł „ze Lwowa“ dwie rzeczy przyznać musi: raz że redaktorowie i korespondenci *Dziennika* „chodzili do szkoły“ wiedeńskiej *Pressy*, — w niej lekcye stylistyki, „miłości ojczyzny“ i „etyki chrześcijańskiej“ pobierali; powtórze że pochwała dana J. E. X. Arcybiskupowi w takim organie i z takich powodów, jakie podaje *Dziennik Polski* (pod inspiracją świadomej nam osoby) jest co najmniej obrazą katolickiemu biskupowi wyrządzoną. Sam *Dziennik* to przyznał. — Czyż może być wreszcie coś bardziej ubliżającego dla prawego człowieka, jak pochwała z ust ludzi, którzy z rzadko praktykowanym cynizmem wypowiedzieli publicznie, że temu i tym piszą, kto im lepiej płaci. To też rzekome pochwały *Dziennika*, wiemy o tem z wiarogodnego źródła, zostały przyjęte ze wzgardą i oburzeniem przez Czcigodnego Arcypasterza.

Unia i *Przegląd* nie wspominały nic o jubileuszu, to prawda, bo nie wypada występować pismom czytany przez Jego Exc., z szumnem ogłoszeniem tego, co dopiero za kilka miesięcy w dowód czci i wdzięczności jako niespodziankę zamyślają dokonać. Prosta delikatność na to nie pozwala. Ale *Dziennik* takich rzeczy zrozumieć nie może.

¹⁾ Wiadomość *Gazety*.

Na inwektywy przeciw pisarzom wypróbowanej nauki i ustalonej powagi, jak p. Dzieduszycki i ks. Kalinka nie odpowiadamy. Broniąc ich sławy przed sądem tak kompetentnych ludzi, jak krytycy „Dzien”, ubliżylibyśmy im tylko. Młode buldoki szczekają na księżyc — ale księżycowi nie szkodzi to wcale.

* * *

Na czele wydawnictw humorystycznych w Warszawie stoją znani u nas pp. Dzikowski i Bogumił Aspis. Ten będąc wyznania ewangelickiego, pluje i sarka na wszystko co tylko trąci katolicyzmem. Wysztycha ludzi, których cześci cały kraj, uwielbiając ich cnoty, naukę i zdolności. Szczególniej lubi się rzuć na tych, co z tamtego świata nie mogą mu odpowiedzieć. Do takich należą: Woronicz, Krasiński, Bartoszewicz, Hoffmanowa i inni. Obaj ci wyżej wymienieni panowie wylewają te oszczerstwa i brudy w *Kolcach* i *Ostrodze*, które to broszury wychodzą co kilka tygodni. O Dzikowskim ostrzegali Warszawian Kraszewski w swoim *Tygodniu*, ale ostrożnie, a to, nie jest prawie nikomu wiadomem, albowiem *Tydzień* do nas rzadko i wyjątkowo dochodzi. Obaj ci ludzie kochają się w brudach, zachwycają się niemi i innym każą się zachwycać. Aspis mając zaledwie 22 lat, napisał poemat p. t. *Salvator*, który nie radziłbym dać nawet grenadyerom do czytania: tyle tam brudu, podłości, zwierzęcego roznamietnienia. Dzikowskiego powieść „Dziewczyna“ jest podobnegoż rodzaju, chociaż nie zdołała w malowaniu tych wstrętnych obrazów doścignąć *Salvatora*.

Trudno nie ubolewać nad *Biblioteką Warszawską*; stała ona kiedyś na czele polskich czasopism, a dziś podupadła. Naturalnie najbardziej winien temu stan kraju, ale i bez tego gdzież bo teraz w Bibliotece szukać piór równych Korzeniowskiemu, Łukaszewiczom, Bartoszewiczom, Czajkowskim, Szajnochom, Stadnickim, którzy dawniej zasilali swemi pracami Bibliotekę. Jeszcze jeden Tyszyński podtrzymał ją jako tako; a dziś kiedy i on się odsunął, Biblioteka została na opiece i lasce takich, którzy nigdy nie mogą zastąpić dawnych współpracowników. Dział krytyczny niegdyś tak świetny, w cóż się dzisiaj przemienił? Są zeszyty Biblioteki, w których ani jednego nie ma artykułu tyczącego się naszej historii i naszej literatury. Rozbierają poważnie, tłumacząc naturalnie z dzieł obcych literaturę węgierską, skandynawską, hiszpańską, francuzką itd., a o naszej ani słychu. (*Przegląd Polski*).

* * *

Dnia 2 lipca zakończył życie w Paryżu śp. *Feliks Wrotnowski*, pisarz emigracyjny. Rodem z województwa Trockiego, ukończył nauki w uniwersytecie wileńskim, i w latach przed powstaniem 1831 trudnił się tłumaczeniem romansów Fenimore Coopera. Kampanią odbył w korpusie generała Chłapowskiego, a po skończeniu wojny osiadł w Paryżu. Od lat kilku zapadł był na zdrowiu, i choroba skutkiem braku żywności podczas oblężenia nagle się rozwinęła. Do ostatniej

chwili zachował jednak zupełną przytomność umysłu, i na kilka dni przed zgonem dyktował nieodstępnie w czasie choroby koledze swemu notaty, odnoszące się do historii prawa rzymskiego: o ile prawo kanoniczne korzystało z pandektów rzymskich. Prace Wrotnowskiego odznaczają się czystością języka wytworną i poprawnością stylu. Cenniejsze są: „Rys powstania na Litwie 1831.“ „Powstanie na Litwie i w ziemiach ruskich“ 3 tomy; „Żywot Adolfa Januszkiewicza;“ Kurs literatury słowiańskiej“, tłum. z francuzkiego Adama Mićkiewicza, 4 tomy; „Elementarz polski“, na którym całe pokolenie młodsze uczyło się we Francyi mowy ojczystej. Nadto z pomocą p. Dufour wydał był atlas polski i osobną w wielkim formacie, a odznaczającą się dokładnem wykończeniem kartę Polski. Niezmordowani pracownicy na polu nauki jeden za drugim z tego świata schodzą — Kto nam ich zastąpi!?

Były cesarz Francuzów Napoleon III, strącony z tronu, bawi teraz w Chislehurst w Anglii. W nieszczęściu swoim snadź zmienił mylnie zdanie swoje. Albowiem kanonikowi Pope z Dublina, który mu przesłał swą nowo wydaną książkę o Soborze watykańskim, odpowiedział w liście z dnia 29 lipca b. r. tak: „Książkę łaskawie mi przeslaną czytałem z wielkiem zajęciem. Masz pan słuszość twierdząc, że odrodzenie się Francyi inaczej wykonać się nie może, jak przez rząd, oparty na religii, sumieniu i moralności“. Gdyby rządząc Francją był o tem pamiętał, gdyby był szedł za głosem sumienia, a nie ulegał wpływowi massonów, z którymi już w młodości się bratał, gdyby w podstępny sposób nie był wypędzał Ojca świętego z jego posiadłości, nie potrzebowałby teraz sam się tulać po świecie.

(*Pielgrzym* ¹⁾.)

ŚWIĘTOPIETRZE

PIOTROWI ŻYJĄCEMU W PIUSIE IX, BOŻEMU RYBITWIE

OD JEDNOŚCI Z KTÓRYM POLSKI PRZYSZŁOŚĆ CAŁA

złożyli na nowo w Redakcyi:

Ks. Franciszek Felicjan Preysentanz zlr. 10.

¹⁾ Pismo to poświęcone dla ludu, redagowane przez czcigodnego księdza Kellera, proboszcza w Pogutkach w diecezji chełmińskiej w Prusach, zasługuje pod każdym względem jak na najgorętsze ze strony katolików poparcie. Damy szczegółową o nim recenzją.

(*Przyp. Red.*)

W NASTĘPNYCH ZESZYTACH

między innymi zamieszczać będziemy:

1. Cudowne miejsca w Polsce. (artystyczno - literacko - historyczne).
2. Dziennik Poznański i Ultramontanizm polscy. (ciąg dalszy).
3. Portrety pośmiertne przez hr. Z. L. D. — II. X. Biskup Łętowski.
4. Lamartine, jego życie, dzieła wpływ, na społeczeństwo, przez p. Adama Krechowieckiego.
5. J. Maksymilian Fredro, jego życie, dzieła etc. napisał Dr. Skrzydylka.
6. Poeci. — Wieszcz. — Dante i Mickiewicz. przez X. Jachimowskiego
7. Gawędy o antropologii (ciąg dalszy).
8. Bezkrólewie pod Batorym na 2 nieznanach dokumentach osnute. X. Polkowski.
9. O metodzie scholastycznej, jej geneza, rozwijanie się i dojrzałość. (c. d.)
X. kan. Zygmunt Golian.
10. Historia synodów w Polsce, przez hr. M. Dzieduszyckiego.
11. O J. Leopolicie — X. I. Polkowski.
12. Postępy Zoologii.
13. Büchner — siła i materya, przez b. profesora b. szkoły głównej w Warszawie.
14. Ciemnota wieków średnich — scholastyka, artyści, poeci, uczeni, uniwersyteta.
15. Nowe odkrycia w środkowej Afryce (ciąg dalszy).
16. Rzym i Londyn.
17. Studium bibliograficzno - historyczne o wszystkich periodycznych pismach w języku polskim, wydawanych w wieku przeszłym. X. Ign. Polkowski.
18. Trzecie wydanie żywotów ŚŚ. Skargi. przez **.
19. Dante Beatrycja i Wergiliusz.
20. O architekturze. Przez **.
21. Tygodnik Wielkopolski — jego redaktorowie — ich wiedza — ich prace i szerzone przez nich zasady.
22. Prelekcje historyi kościelnej na Uniwersytecie Lwowskim.
23. Nieszczęśliwi. (Ciąg dalszy).

Przegląd Lwowski

wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca
objętości 3½ do 4 arkuszy druku.

Przedpłata wynosi: w Galicyi ćwierćrocznie zlr. 2; półrocznie zlr. 4;
rocznie zlr. 8.

W Prusach, Rzeszy Niemieckiej i Wielkopolsce: ćwierćrocznie talarów 1½; półrocznie tal. 3; rocznie tal. 6.

We Francyi, Belgii, Włoszech i Szwajcaryi: ćwierćrocznie franków 7; półrocznie fr. 14; rocznie fr. 28.

Przyjmują także prenumeratę we Lwowie: Ajencya „Czasu“ u p. Piątkowskiego, plac katedralny; księgarnie pp. Sayfartha i Czajkowskiego, oraz pp. Schmidta i Gubrynowicza; — w Krakowie księgarnie p. Jaworskiego i p. Krzyżanowskiego; — w Poznaniu w księgarni p. Tytusa Daszkiewicza; — w Prusach w Ostrowie u p. Priebatsch'a; — w Paryżu rue de la Trinité 3. chez Mons. l'Abbé Léon Postawka.

Uwaga: Dla uniknięcia opóźnień w przesyłce prosimy prenumeratę najlepiej nadsyłać wprost do Administracyi Przeglądu Lwowskiego w kamienicy kapitulnej 1. 24.

Z przysyłym zeszytem powiększymy prawdopodobnie nasz Przegląd o jeden co najmniej arkusz druku, a w takim razie będziemy mogli zamieszczać wiadomości polityczne, ze świata katolickiego, przegląd naszego dziennikarstwa i spraw miejscowych, przyczem rozpoczniemy drukować szereg listów z Paryża.

Nakładem Wydawnictwa Przeglądu Lwowskiego

wyszła

PAMIĄTKA

25letniej rocznicy wstąpienia na Stolicę Apostolską

PJCA ŚW. PIUSA IX.

Dostać ją można w Administracyi Przeglądu:

Cena egzemplarza na papierze holenderskim	2 zł. — ct.
na papierze listowym	1 „ 50 „
na papierze zwykłym	1 „ — „

